

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LISTOPAD 2020/6

magazynhisteria.pl

KLANGOR
PATRZ, JAK PIĘKNIE!
PŁASZCZYK
PÓKI ŚMIERĆ NAS NIE ROZŁĄCZY
RAZ-DWA, RAZ-DWA
ROŚNIJ, MAMO!
SZKARŁAT



SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
KLANGOR	Natalia "Nana" Kędra	5
PATRZ, JAK PIĘKNIE!	Michał Jan Chmielewski	17
PŁASZCZYK	Mateusz Dębski	24
PÓKI ŚMIERĆ NAS NIE ROZŁĄCZY	Jacek Pelczar	31
RAZ-DWA, RAZ-DWA	Aleksandra Bednarska	43
ROŚNIJ, MAMO!	Paulina "Płkropka" Garwacka	57
SZKARŁAT	Marek Trusiewicz	63

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Joanna Wídomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk. Małgorzata Siłkowska,
Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Kaja Jaroszevska, Joanna Korytko, Alicja Podkalicka, Anna Wojciechowska,

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami listopadowa Histeria, czyli 41. numer naszego magazynu. W środku znajduje się siedem opowiadań grozy i tyle samo niepokojących ilustracji.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad noworocznym wydaniem.



B. Jaworski i M. Zawadzki

ZBIÓR NAJLEPSZYCH
HISTERYCZNYCH OPOWIA DAŃ



SKLEP. OKOLICA STRACHU. PL



KLANGOR

Natalia "Nana" Kędra

Biegł z zadartą głową, na próżno szukając prześwitu w koronach wiekowych drzew. Zdawał sobie sprawę, że go nie znajdzie – wszak spędziwszy tu pierwszych dziesięć beztroskich lat życia, znał las jak własną kieszeń – a jednak z dziecięcą nadzieją spoglądał wciąż w górę, podążając za żałośliwymi ptasimi głosami.

Nie zdążył na bagna, by pożegnać się po swojemu. Chciał więc chociaż zobaczyć je ostatni raz, zanim odleci w cieplejsze strony. Wiedział, że będzie za nimi tęsknił przez najbliższe pół roku. To dlatego mieniła się ciepłymi barwami jesień i surowa, bezlitosna zima – choć w puszczy równie piękne jak te radośniejsze pory – przepełnione były melancholią.

W coraz krótsze dnie i długie, zimne wieczory brakowało mu radosnych świergotów,

jakby rozjaśniających ciszę. Brakowało tego niesamowitego poczucia wolności i jedności z otaczającą go przyrodą, gdy z ukrycia podglądał ptasie życie toczące się swoim rytmem. Nieraz marzył, że jego ciało unosi się na silnych skrzydłach i umyka w nieznane przed prozą codzienności. I choć marzenie to nie mogło się spełnić, miał jego namiastkę w obserwowaniu zwierząt, którym latanie przychodziło z równą łatwością, co jemu chodzenie.

Wypadł spomiędzy drzew i wzniosł ręce w geście triumfu. Klangor nie oddalił się jeszcze – przeciwnie, słyszał wyraźnie, że wielogłosowy zaśpiew przybliża się do maleńkiego skrawka nieba, który miał w tej chwili tylko dla siebie. Rozejrzał się po skromnym gospodarstwie, w którym wychowywał się od urodzenia, i nie dostrzegłszy najmniejszego ruchu, udał się na tyły niewysokiej chaty. Drżąc z podniecenia, wspiał się zwinnie na wsparty o ścianę chybocliwy stos drewna na opał, a z niego podciągnął się na pochyły dach. Wiedział, że ojciec złożyłby mu skórę, gdyby to zobaczył; nieraz uciekał się do rękoczynów po nakryciu go na znacznie niewinniejszych wybrykach. Jednakże w obejściu panował niezmacony spokój, dobitnie świadcząc o nieobecności rodziców; gdyby byli w pobliżu, ciszę zapewne raz po raz rozdzierałyby odgłosy kłótni, przed którą uciekł na bagna, albo kolejnej o coś równie błędnego. Czasem wydawało mu się, że te kłótnie – rzadko ograniczające się jedynie do słownych przepychanek – nigdy się nie kończą, a jedynie przygasają, by niebawem rozgorzeć ze zwielokrotnioną siłą.

Wsluchując się w głosy migrujących żurawi, na chwilę zapomniał o swych dziecięcych troskach. Ostrożnie przeczołgał się do ulubionego punktu obserwacyjnego. Rozsiadł się możliwie najwygodniej, opierając plecami o rozsypujący się komin i spojrzał w dal ponad wierzchołkami drzew. Wreszcie ujrzał to, co tak bardzo chciał zobaczyć, nim jesień w pełni rozkwitnie, że biegł niestrudzenie, choć jego dom od bagien dzieliła spora odległość.

Beztrosko płynąc po niebie, jedynie nieco szybciej niż gnane wiatrem obłoki, ukazała się najpierw szpica złożona zaledwie z kilku ptaków. W miarę jednak jak posuwały się na południe, jego oczom ukazywały się kolejne, w dziwnie regularnym, choć nierównym szyku. To było ogromne stado, które z powodzeniem mogłoby utworzyć przynajmniej trzy wielkie klucze, lecz z jakiegoś powodu uformowało jeden o rozmiarach doprawdy niespotykanych.

Długo spoglądał w niebo, urzeczony niezwykłym spektaklem. Z zachwytem, choć także z pewnym smutkiem, słuchał towarzyszącego temu widowisku melancholijnego śpiewu. Nawet gdy ostatnie ptaki zniknęły mu z oczu w oddali, smętny klangor pobrzmiwał w uszach niczym ostatnie pożegnanie. A gdy ten przejmujący dźwięk wreszcie ucichł, poczuł,

jakby wraz z nim utracił coś niezmiernie ważnego.

Jeszcze przez jakiś czas siedział, rozmyślając nad tym nowym uczuciem, gdy nagle zdał sobie sprawę z dziwnego niepokoju, który usiłował przebić się przez zadumę. Rozejrzał się, w panice, uświadamiając sobie, jak późno się zrobiło. Matka już dawno powinna wyjść z chaty, wyklinając na czym świat stoi, by zawołać go na wieczorny posiłek. Przemykając obok niej, jak zwykle dostałby w ucho – za to, że tak długo się szwendał, pewnie znowu coś zbroił...

Tylko że w domu nikogo nie było. Nie mogło być – komin za jego plecami był wciąż zimny i nie dymił, a z okna od frontu nie sączyła się leniwie ciepła poświata, by rozlać się na tym kawałku ziemi, który widział ze swojego miejsca. Coś było nie tak.

Zapominając o niebezpieczeństwie zostania dostrzeżonym przez ojca – który zawsze tylko czekał na pretekst, by puścić pięści w ruch – ześlizgnął się po dachu i zeskoczył z jego krawędzi niczym kot. Zwykle tego unikał; wolał schodzić tą samą drogą, którą dostał się na górę, w sposób teoretycznie bezpieczniejszy, ale mniej zabawny – wtedy nie lądował tuż przed oknem, przez które rodzice mogliby go zobaczyć. Tym razem jednak o to nie dbał. Jakieś okropne przeczucie kazało mu się pospieszyć, usłuchał więc, nawet się nie zastanawiając.

Stanąwszy na ganku, zobaczył to, co powinien dostrzec już wcześniej, gdy tylko wybiegł z lasu – drzwi nie były domknięte. Pchnął je lekko i ustąpiły bez oporu, z cichym skrzypieniem. Z obawą przekroczył próg i niemal od razu się cofnął, drżąc na całym ciele. Choć ledwie obrzucił spojrzeniem mroczne wnętrze, bez trudu rozpoznał sylwetkę na podłodze, leżącą nieruchomo wśród nieregularnych ciemnych plam.

Przez moment konwulsyjnie łykał powietrze. Miał wrażenie, że tonie, choć przecież czuł pod nogami wytarte deski. Nie chciał znów wchodzić do środka, bał się – bał się jak jeszcze nigdy – ale coś nie dawało mu spokoju. Coś w znajomym kształcie dziwnie nie pasowało do reszty. Musiał to sprawdzić, musiał się upewnić...

Gdy wreszcie z trudem uspokoił oddech, ponownie pchnął drzwi, które zdążyły z powrotem przymknąć się pod wpływem podmuchu wiatru. Znów wszedł do chaty. Udawał sam przed sobą, że nie widzi nieruchomego ciała, póki nie znalazł tego, czego szukał. Drżącymi rękami zdołał zapalić starą lampę naftową. Uniósł ją i dopiero gdy niepewny blask objął przerażającą scenę, wprawiając w ruch cienie na skraju pola widzenia, przemógł się i niechętnie popatrzył w dół.

Poczuł piekące łzy pod powiekami, gdy spojrzał wprost w niewidzące źrenice matki. Na jej twarzy, zastygłej w upiorną pośmiertną maskę, malowała się mieszanina strachu, szoku

i niewysłowionego cierpienia. Reszta głowy – od niegdyś pięknie wysklepionego czoła po kark, zwykle skryty pod węzłem ciasno zwiniętego kasztanowatego warkocza – stanowiła przyprawiającą o mdłości mieszaninę czerwonych strzępów, pozlepianych matowych kosmyków, białych odłamków i jakiejś szarawej, gąbczastej tkanki. Ciało widoczne spod bezkształtnej burej sukni pokrywały liczne sińce i grudy zakrzepłej krwi. Ręce, rozrzucone na boki w groteskowej parodii serdecznego powitania, były powyginane pod dziwnymi kątami – w miejscach, w których nie miały prawa się wyginać. Z jednej z ran sterczała zgruchotana kość.

Podłogę wokół pokrywały duże plamy zakrzepłej karmazynowej cieczy. W jednej z nich, niczym przyznanie się do winy, leżał potężny kowalski młot ojca, od lat nieużywany. Płaty rdzy osypały się zeń, wtapiając we wszędobylską czerwień. Rozeschłe drewno trzonka zaczęło pękać wzdłuż włókien, odpowiadając w ten sposób na siłę uderzeń, do sprostania której nie było już zdolne.

Dziesięcioletni chłopiec stał przygarbiony, w wysoko uniesionej ręce trzymając lampę. W rzucanej przez nią nikłej poświacie przyglądał się scenie zbrodni tak straszliwej, że nie był w stanie jej pojąć. Patrzył długo i uważnie, w pamięci odnotowując każdy szczegół, a jednak nie widział. Nie wiedział już, gdzie się znajduje. Nie wiedział, co robi, gdy schylił się, by palcami zamknąć te ślepe oczy wpatrujące się w niego z niemym wyrzutem.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, kiedy opuścił dom. Coś ciągnęło go do lichej przybudówki, w której tyle razy usiłował schować się przed ojcem. Próby te na niewiele się zdawały – zawsze był znajdowany, zanim straszliwy rodzicielski gniew zdążył ostygnąć, i musiał poddawać się surowej, przeważnie niezasłużonej karze.

Skrzypiące drzwiczki nie były zamknięte na skobel. Wciąż nieświadom tego, co robi, chłopiec pociągnął je i zajrzał do środka. Wydawało się, że nie jest w stanie krzyczeć przez zaciśnięte gardło, a jednak wrzasnął, gdy wąty poblask lampki padł na obrzmiałą, siną twarz. Wybałuszone oczy patrzyły na niego przez moment, by zaraz odwrócić się z niesmakiem, kiedy gwałtowny podmuch wiatru obrócił wisielca. Ciało bezwładnie zakołysało się na konopnym sznurze, zaciskając specjalny węzeł. W rzadkich chwilach napływu nieco cieplejszych uczuć do syna ojciec kilka razy próbował nauczyć go tego wiązania – jak mówił, nawet diabeł by go nie rozsypał, gdyby mu nie powiedziano, jak się za to zabrać – ale próby te nie przynosiły oczekiwanego efektu. Chłopca znacznie bardziej interesowała zawsze otaczająca go przyroda niż nabywanie umiejętności przydatnych w gospodarstwie.

Potrząsnął głową, wpatrując się w wielkie robocze buciory dyndające niemal na wysokości jego oczu. Upuścił lampę. Na szczęście nie zbiła się, jedynie zgasała. Nie zauważył

tego. Obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w stronę domu.

Ocknął się na dachu, witany śpiewem lelków. Słyszając to upiorne terkotanie nad ranem, matka zawsze powtarzała, że w nocy ptaszyska porwały nieszczęsną duszę zmarłego. Chłopiec nie był pewien, czy powinien wierzyć w takie ludowe bajania, a jednak przechodziły go dreszcze, ilekroć o tym pomyślał.

Nagle, niespodziewanie dla samego siebie, rozplakał się, szlochając głośno. Nie wiedział, co się stało, ale z jakiegoś powodu był pewien, że został całkiem sam. Nigdy już nie ujrzy mamy, ukradkiem kreślącej w powietrzu znak krzyża na dźwięk ponurej pieśni kozodojów. Nie usłyszy taty wyśmiewającego jej naiwną wiarę w głupie zabobony. Nie zaczną się klócić o kolejną błahostkę.

Został sam.

Odkąd rodzice go porzucili, musiał ze wszystkim sobie jakoś radzić. Choć bywało, że do jego zagrody w głębi lasu zawitał zbłąkany podróżny – zwykle by zapytać o drogę i odejść bez słowa, nie interesując się nadmiernie losem sieroty – zazwyczaj był zupełnie sam. Samotność mu jednak nie doskwierała. Teraz przynajmniej mógł żyć własnym rytmem i robić, co tylko chciał. Nikt nie ganił go za marnotrawienie czasu na obserwację ptaków czy za bieganie po lesie w porze, gdy powinien wykonywać swoje obowiązki.

Mimo niechęci do przyswajania ojcowskich życiowych mądrości i matczynych, względnie życzliwych połajanek, umiał się o siebie zatroszczyć. Potrafił zastawić paście, ubić i oprawić schwytaną zwierzynę – a choć brzydziło go zadawanie cierpienia, zdawał sobie sprawę, że inaczej nie przetrwa w głuszy. Potrafił też łowić ryby, rozpoznawać jadalne rośliny i grzyby, a także znajdować owoce. Nie chciał jedynie wybierać jaj z ptasich gniazd – zawsze jawiło mu się to największym barbarzyństwem i odmawiał brania w tym udziału. Była to zresztą jedyna niesubordynacja, której nawet kij, twarde pięści i już zdecydowanie nieżyczliwe rodzicielskie połajanki nie zdołały wybić mu z głowy.

Często żałował, że nie ma siostry, która – jak zawsze marzył – odciążałaby go, przejmując część obowiązków związanych z prowadzeniem domu. W swej naiwności nie brał jednak nigdy pod uwagę tego najczarniejszego scenariusza. Teraz rozumiał, że gdyby rodzice,

porzucając go, zabrali ze sobą ową upragnioną siostrę, on zostałby sam i pozbawiony choćby tych kilku podstawowych umiejętności, nie przetrwałby nawet najbliższej zimy.

Tymczasem już od dłuższego czasu radził sobie zupełnie nieźle. Życie jego co prawda znacząco odbiegało od tego poprzedniego – które oddzielił grubą linią i o którym usilnie starał się zapomnieć – jednak w gruncie rzeczy był z niego tak zadowolony, jak tylko mógł. Czasem wydawało mu się wręcz, że jest zgoła szczęśliwy, choć sam nie umiałby sprecyzować, czym właściwie owo ulotne szczęście jest. Nie brakowało mu niczego, czego najpilniej potrzebował – bez całej reszty zaś mógł się obejść. Do tego był przyzwyczajony.

Czasem tylko ogarniał go dziwny niepokój. Naraz odnosił wrażenie, że coś mu umyka, jakby jakaś istotna część historii, której był głównym – i zazwyczaj jedynym – bohaterem, rozgrywała się gdzieś poza nim. W takich chwilach trwożliwie oglądał się przez ramię, nierzadko spoglądając ukradkiem w stronę zapadłej, od lat nieużywanej piwniczki. Od małości bał się do niej zbliżać, a teraz budziła w nim niezrozumiały, niemal zabobonny lęk.

Wszystkie obawy jednak znikwały, gdy milkł złowieszczy terkot lelków, przywracając lasowi jego błogosławioną ciszę. Kiedy zaś z nieba dobiegał klangor najbardziej majestatycznych mieszkańców puszczy, chłopak miał wrażenie, że sam jest w stanie oderwać się od rzeczywistości i poszybować razem z nimi.

Przez lata nauczył się naśladować liczne ptasie głosy. Choć zaśpiew żurawi nie należał może do najpiękniejszych, to gdy wtórował im na swój niedoskonały sposób, wręcz czuł, jak się unosi i przemierza błękitny przestwór ponad koronami wiekowych drzew, razem z tysiącami swych pierzastych, duchowych pobratymców. Z czasem uwierzył w to tak mocno, że sam już nie wiedział, czy tylko śni, czy też naprawdę lata.

Równocześnie wiódł zupełnie prozaiczny, przyziemny żywot. Szarą egzystencję urozmaicały tylko sporadyczne wizyty zbłąkanych wędrowców. A choć nie brakowało mu ludzkiego towarzystwa – znacznie lepiej czuł się wśród zwierząt, na łonie nieokiełznanej dzikiej natury – zawsze niemal z ulgą witał tę chwilową odmianę.

Prowadzenie rozmowy w powoli zapominanym języku sprawiało mu co prawda coraz większą trudność, ale chętnie się tego podejmował. Martwiło go tylko, że niespodziewani goście niemal zawsze znikali bez uprzedzenia. Nawet jeśli zostawiali mu na pocieszenie jakiś śliczny drobiazg – stary kieszonkowy zegarek, barwną wstążkę do włosów czy haftowaną chustkę – nie mógł wyzbyć się wrażenia, że wszyscy uważają go co najmniej za dziwaka, jeśli nie za kompletnego szaleńca. Z biegiem czasu zaczął podejrzewać, że ma to związek z jego wyjątkowymi zdolnościami, których zwykli śmiertelnicy zwyczajnie mu

zazdroszczą. Jakież bowiem mógłby być inny powód ich niechęci?

Mimo to wciąż z radością przyjmował rzadkich gości, starając się być uprzejmym i pomocnym. Wiedział, że nie przyniesie mu to żadnej korzyści, jednak nie leżało w jego naturze krzywdzenie innych, choćby tylko złym słowem. W całej swej surowości – a nawet okrucieństwie – nie tak go przecież wychowali rodzice.

O nich już jednak nie myślał. Ci dwoje należeli do przeszłości.

– Halo, jest tu kto?!

Czuła się głupio, wydzierając się tak wniebogłosy pośrodku czyjegoś obejścia, ale szczerze mówiąc było jej już wszystko jedno. Od tyłu godzin błąkała się po tym przekłętym lesie – nie mogąc odnaleźć ścieżki, z której zboczyła przecież tylko odrobinę, żeby skrócić sobie drogę – że marzyła już wyłącznie o odpoczynku. I o powrocie do ludzi.

Tymczasem trafiła na niewielkie gospodarstwo w samym środku puszczy. Nie dbała o to, co pomyśli o niej właściciel, byle tylko pozwolił przysiąść na chwilkę i wskazał właściwy kierunek dalszego marszu. Kto wie, może nawet będzie na tyle uprzejmy i odprowadzi ją kawałek, by upewnić się, że znów nie pobłądzi...

Usłyszała za sobą jakieś szuranie. Niemal podskoczyła, obracając się w stronę zarośli, z których naraz wyjrzała blada twarz rozpromieniona szerokim uśmiechem.

– Wybacz, nie chciałem... przestraszyć.

Głos chłopaka, który z prawdziwą gracją wyplątał się z kolczastych chaszczy, był mocno zachrypnięty, niczym głos dojrzałego, doświadczonego przez życie mężczyzny. Sprawiał wrażenie, jakby zardzewiał od długiego nieużywania. Przyjazne oblicze niemal kipiało jednak młodzieńczą energią. Choć nieznajomy sprawiał wrażenie nieco oderwanego od rzeczywistości, z miejsca ujęła ją wręcz bijąca od niego otwartość. Zarumieniła się lekko, odwracając wzrok, gdy podszedł do niej posuwistym krokiem.

– Wybacz, że tak... bezpośrednio, ale... Nieczęsto widuję tu ludzi. Zbłądziłaś pewnie?

Skinęła głową, nieco zażenowana. Miała ogromną ochotę głośno się roześmiać, ale obawiała się, że chłopak mógłby to niewłaściwie zinterpretować. Nie chciała przecież, by poczuł się urażony, uznawszy, że z niego drwi. Przecież to nie jego wina, że mówi z wyraźnym trudem i lekko się zacina. Poza tym, gdyby go obraziła, mógłby jej nie pomóc, a tego teraz obawiała się najbardziej.

– Cóż, chyba przeceniłam swoje możliwości – stwierdziła, szerokim gestem wskazując znienawidzony las. – Jestem Mary. A ty?

– Ja... prawdę mówiąc... nie pamiętam. – Teraz to on odwrócił wzrok z zawstydzeniem. – Jestem tu sam... już tak długo...

– Nie żartuj! – przerwała mu, nim zdążyła ugryźć się w język. – Mieszkasz tu zupełnie sam?

Zdawkowe skinienie tak ją zszokowało, że na moment zaniemówiła. Ile on może mieć lat? Szesnaście? Z pewnością nie jest przecież starszy od niej!

– No dobra – zagaiła po chwili, otrząsając się z wrażenia, jakie wywarła na niej ta informacja. – To jak mam się do ciebie zwracać?

– Chyba możesz... Eee... Żuraw?

Uśmiechnęła się pod nosem i skinęła głową z aprobatą. Może to nietypowe imię, ale ostatecznie cóż za różnica na tym odludziu?

Zaprosił zbłąkaną dziewczynę do chaty. Nie mógł przecież tak zostawić jej samej sobie. Co prawda prosiła tylko o wskazanie właściwej drogi – mówiła, że chce jak najprędzej wydostać się z jego lasu – ale widział, jak bardzo była zmęczona. Miałby sobie za złe, gdyby nie zaproponował jej choć kubka wody i chwili odpoczynku.

Poza tym Mary stanowiła bardzo miłe towarzystwo. Nie tylko śliczna, ale też niezwykle wygadana. Była uprzejma, choć chwilami zdawało się, że przychodzi jej to z jakimś trudem. Ważne jednak, że się starała, a on – mocno doświadczony przez życie już we wczesnym dzieciństwie – potrafił to docenić.

Usiedli na rozchybotanej drewnianej ławie. Mary łapczywie wypila świeżą, zimną wodę, którą rano przyniósł ze strumienia, po czym zaczęła ciekawie rozglądać się po skromnym wnętrzu. Obserwował jej twarz, na której malowało się zdumienie, ale też podziw.

– Jak tu czysto – westchnęła w końcu. Zerknęła na niego z ukosa. – Wiesz, nie spodziewałabym się po samotnym mężczyźnie takiej dbałości o porządek.

Wzruszył ramionami, uśmiechając się lekko. Od dziecka wpajano mu, że dom, choćby najbiedniejszy, powinien prezentować się należycie – podobnie jak jego właściciel. Nie było mowy o przeoczonej plamie na podłodze, pajęczynie w kącie czy o chodzeniu w podartych spodniach. Każde takie niedopatrzenie było surowo karane.

Jednak nie dlatego tak często sprzątał. W którymś momencie uświadomił sobie, że

nie tyle lubi, ile wręcz potrzebuje tego, by utrzymać w swoim życiu pozory ładu. Nie mógł odnaleźć się w zagraconym wnętrzu. Nie potrafił poczuć się dobrze we własnym domu, jeśli miał wokół siebie bałagan. Porządek przywracał mu spokój ducha i pozwalał pogрузić się w swoistym zadowoleniu.

Zauważył, że dziewczyna przygląda się drewnianej podłodze, a w jej oczach odbija się głęboki namysł. Skrzywił się w duchu, starając się zachować neutralny wyraz twarzy. W kwestii utrzymania czystości to było jedyne pole, na którym poniósł porażkę – mimo usilnych prób wywabienia plam, wciąż doskonale widoczne były spore ciemniejsze obszary. Żaden z niezawodnych sposobów matki nie przyniósł tu efektów; choć wypróbował je już wszystkie, do tej pory nie udało mu się usunąć przebarwień.

Uśmiechnął się przyjaźnie, nieudolnie maskując zażenowanie i wyciągnął dłoń, wskazując największe zaciemnienie.

– Ojciec, kiedy jeszcze... tu mieszkał, miał dziwny zwyczaj... oprawiać zwierzynę wewnątrz. Staraliśmy się sprzątać... na bieżąco. Ale sama widzisz.

Mary skinęła głową, a on odetchnął. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu pragnął, by uwierzyła w jego tłumaczenie. Nie chciał, by miała go za niechluję, który nie potrafi należycie zadbać o własne domostwo. Był mocno wyczulony na tym punkcie.

Naraz cały się rozpromienił, nasłuchując.

– Słyszysz to? Żurawie lecą!

Spojrzał na dziewczynę błyszczącymi oczyma, a ona niepewnie skinęła głową. Wydawało się, że niczego nie usłyszała, ale być może nie miała tak wyczulonego słuchu jak on. Albo po prostu nie wiedziała, co właściwie słyszy. Uśmiechnął się do niej zachęcająco.

– Posłuchaj tylko, jak pięknie... śpiewają. Wyjdę na chwilę... Poszybuję z nimi. – Udał, że nie dostrzega jej zdumienia. – Wrócę i jeszcze... porozmawiamy. Potem cię odprowadzę.

Nie czekając na odpowiedź, zerwał się z miejsca i wybiegł na zewnątrz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Stała przy oknie, rozglądając się z niepokojem po podwórzu. Z tym chłopakiem musi być coś nie tak. Abstrahując od faktu, że słyszy jakieś nieistniejące dźwięki – kto normalny wypatrywałby żurawi u progu zimy? Może nie znała się na zwyczajach ptaków zbyt dobrze, ale z całą pewnością wiedziała, że te konkretne dawno już odleciały na południe.

Naraz z zewnątrz dobiegł jakiś przedziwny zaśpiew. Zrazu nie potrafiła dociec, co jej on przypomina. Wreszcie uświadomiła sobie, że choć brzmią w nim fałszywe nuty, w sposób zaskakujący przywodzi on na myśl klangor.

Znów spojrzawszy przez okno, dostrzegła swego gospodarza, zawodzącego przeraźliwie i nieprzytomnie spoglądającego w niebo. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie gdzieś odpłynął. Nagle zerwał się do biegu i znikł gdzieś na tyłach chaty.

Podeszła do drzwi i pchnęła, okazało się jednak, że nie jest w stanie ich otworzyć. Zaskoczona, poczuła wzbierającą panikę i natarła ramieniem, ale nie na wiele się to zdało. Zabębniła kilka razy pięściami, krzycząc przy tym przeraźliwie. Twarde drewno odpowiadało głuchymi łupnięciami na jej uderzenia.

W końcu poddała się i zrezygnowana ponownie usiadła na chwiejącej się ławie. Uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu nie słyszy przedziwnego, żałośliwego śpiewu. Pewnie zamknąwszy ją, ten szalenciec pognął w las. Nie wiedziała, jak długo przyjdzie jej tu siedzieć samej. Modliła się tylko, by po powrocie chłopaka udało jej się umknąć, nim przyjdzie mu do głowy wyrządzić jej krzywdę.

Naraz usłyszała na zewnątrz szybkie kroki. Zerwała się na nogi i w napięciu wyczekiwała otwarcia drzwi. Liczyła, że zdoła zaskoczyć gospodarza i uciec. Ciężki skobel zaszurał o twarde drewno, rozległo się jęgliwe skrzypienie zawiasów. Na progu stanął chłopak mieniący się Żurawiem – lecz jego postać była zmieniona niemal nie do poznania. Cała sylwetka jakby spotężniała, choć przecież nadal był tym samym szczupłym młodzieńcem. Poruszał się znacznie pewniej i gwałtowniej. Jego oczy nabrały przerażająco dzikiego wyrazu, a twarz przeistoczyła się w ponurą maskę.

W dłoni dzierżył potężny młot. Ze starego, spracowanego obucha płatami osypywała się rdza. Długi drewniany trzon był za to znacznie nowszy i starannie wystrugany. Na jasnym drewnie, wyglądzonym widocznie od częstego używania, odznaczały się ciemniejsze plamy o niepokojącym czerwonym odcieniu.

Mary bezsilnie opadła na siedzenie, szeroko rozwartymi oczami wpatrując się w gospodarza. Wprost nie mogła uwierzyć, że tak się co do niego pomyliła. Na początku wydawał się miłym, choć może nieco ekscentrycznym chłopcem. W najgorszym razie pomyślałaby, że jest nieszkodliwym dziwakiem. Tymczasem teraz stał przed nią prawdziwy potwór. Widząc jej przerażenie, wykrzywił się złowieszczo i zrobił kilka kroków w jej kierunku.

– Pewnie oczekiwałaś Żurawia, ale on teraz nie ma dla ciebie czasu. – Jego głos się pogłębił, przywołując na myśl basowe warczenie wściekłego wilka. Zwróciła uwagę, że teraz

już się nie zacina. – Lata z ptasimi braćmi. – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Może potem się zdziwi, że odeszłaś bez słowa... Ale teraz nie będzie nam przeszkadzał.

Ponury śmiech odbił się od pustych ścian, przyprowadzając dziewczynę o drżenie. Do oczu napłynęły jej łzy, gdy uświadomiła sobie, że oto przyjdzie jej pożegnać się z życiem w tej bezosobowej, pedantycznie utrzymanej chacie. Wyobraziła sobie, jak chłopak wytrwale szoruje podłogę, starając się usunąć z desek jej krew i zaszlochała bezradnie. Nie widziała sposobu na ratunek.

Naraz dostrzegła szansę, gdy oprawca się do niej zbliżał. Kątem oka widząc, jak bierze szeroki zamach, zanurkowała pod stołem, przy którym siedziała. Chyba udało jej się go zaskoczyć, cios opadł z hukiem na blat. Rozległ się trzask pękającego drewna – tak przeraźliwy, że skuliła się w sobie i niemal na czworakach wystrzeliła w stronę drzwi.

Wybiegła na zewnątrz. Słyszała już za sobą kroki i wiedziała, że nie ucieknie. Jediną możliwością było znalezienie kryjówki. Rozglądała się w panice, szukając czegokolwiek, co nadawałoby się, by choć chwilowo posłużyć jej za schronienie.

Skręciła za róg i dostrzegła przed sobą ziemną piwniczkę. Zapadnięta i wyraźnie zaniedbana, na oko stała nieużywana od lat. Zdało jej się jednak, że spaczone drzwiczki są niedomknięte. Może dałoby się je otworzyć i ukryć tam przed wzrokiem złowrogiego gospodarza.

Słyszała, jak ją goni, lecz obejrzawszy się przez ramię, nie dostrzegła ruchu. Dopadła do ziemianki i jak najostrożniej uchyliła drzwi. Na szczęście otwały się bezgłośnie. Obejrzała się raz jeszcze i zanurkowała w wilgotnym mroku, zamykając się wewnątrz.

Była tak spanikowana, że w pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie się znalazła. Szybko jednak dotarł do niej dławiący odór gnicia. Przerażona, obróciła się w stronę zaskakująco obszernego wnętrza i w wąłym świetle, wdzierającym się przez zapadnięty fragment sklepienia, zobaczyła spoczywające wszędzie zwłoki.

Ciał było mnóstwo. Znajdowały się w różnych stadiach rozkładu – dwa najstarsze były jedynie poczerńiałymi szkieletami, pokrytymi tu i ówdzie resztkami obślizgłych tkanek; najświeższe truchła, rzucone niedbale na piętrzące się pod ścianami sterty, musiały tu leżeć stosunkowo niedługo. Zwłoki wyglądały na zmasakrowane. Na ile dało się to stwierdzić przy tak słabym oświetleniu, niemal wszystkie miały zmiażdżone głowy. Części z nich połamano lub całkowicie odjęto kończyny. Wokół wałyły się fragmenty podartych ubrań i ludzkie szczątki.

Znów usłyszała te ciężkie kroki. Naraz dotarło do niej, jak fatalną decyzję podjęła, ukrywając się w tej upiornej krypcie. Przecież tutaj ten potwór zajrzy w pierwszej kolejności.

Zwabił ją w pułapkę, z której już nie ucieknie.

Tępe uderzenie wstrząsnęło lichymi drzwiami, które stanęły otworem. Wrzasnęła i chciała odskoczyć, lecz zamarła w bezruchu, czując na sobie dziesiątki martwych spojrzeń.

Pierwszy cios w ramię obalił ją na ziemię. Zawyla przeraźliwie, czując dotkliwy ból. Nie było już dla niej ratunku. Zaczęła się modlić, by oprawca jak najprędzej zakończył to cierpienie.

Ale oprawca miał inne plany.

Ocknął się na dachu, zbudzony przeraźliwym terkotaniem. Te lelki dają głos o coraz dziwniejszych porach – pomyślał, ze zdumieniem obserwując wirujące w powietrzu pierwsze płatki śniegu. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zadumie w sklepienie wzbudzającej niezrozumiałą grozę piwnicy, pokrywające się coraz grubsza warstwą puchu. Zaczął drzeć z zimna, wsłuchując się w milknący powoli upiorny śpiew.

Gdy zapadła absolutna cisza, ześlizgnął się po pochyłości, złościąc w białym kobiercu szybko zanikający ślad. Wylądowawszy pewnie na nogach, zajrzał przez okno do wnętrza chaty. Przypomniawszy sobie o nieoczekiwanej wizycie ślicznej, zagubionej dziewczyny.

Nie dostrzegł jej jednak. Zniknęła, kiedy on szybował w kluczu z innymi żurawiami. Odeszła bez słowa, jak wszyscy przed nią.

Znów został sam.

rys. Roman Panasjuk



PATRZ, JAK PIĘKNIE!

Michał Jan Chmielewski

Opowiadanie inspirowane utworem *To nie był film* zespołu Myslovitz

Dostaliśmy dożywocie.

Na ekranie Bruce Willis otwiera brzuch grubasa nożem samurajskim, zboczeniec w mundurze policjanta przestaje gwałcić Marcellusa, a sam Marcellus przeładowuje strzelbę, pakuje ołowiany grad w jego jaja i zapowiada słynną jesień średniowiecza.

– Ach, chciałbym sobie postrzelać – mówi Tomek.

– No – przytakuję obojętnie. Kto by nie chciał.

Siedzimy znudzeni na kanapie w jego pokoju, popijając piwo, które udało się nam przemycić przez korytarz, nie wzbudzając w jego rodzicach podejrzeń. Wieczór, za oknem ciemno, a temperatura schodzi już poniżej zera. Późna jesień.

– Kogo byś zastrzelił? – pytam. Sam nie mam konkretnego typu, no, może poza nauczycielką od matematyki, której celem życia najwidoczniej było usadzenie mojej skromnej osoby na drugi rok w tej samej klasie, bo nie zostałem Pitagorasem.

– Sam nie wiem. – Wzrusza ramionami. Chwilę potem jego oczy błyszczą, jakby wpadł na jakiś wspaniały pomysł. – Wiesz, do dziewczyn na ulicy. Nie do tych zwykłych dziewczyn, ale do tych najpiękniejszych, wiesz o co chodzi. Chciałbym patrzeć w ich oczy, jak marnieją i więdną.

Nie widzę potrzeby ujrzenia czegoś takiego. Dlaczego miałoby mnie to kręcić, nie rozumiem. Zresztą, to zawsze wygląda tak samo. Delikwent, tudzież delikwentka, zamyka oczy, czasami towarzyszy jej efekt dźwiękowy, jakaś muzyczka. Zamknięte oczy, koniec, the end, koniec filmu. Tak to wygląda w teorii.

A w praktyce? Nie wiem. Nie jestem pewien, czy w ogóle odważyłbym się na taki krok. Zastrzelić kogoś w wyobraźni, zabawa taka, to co innego. Na wideo wszystko wygląda tak łatwo, bierzesz broń, pociągasz za spust, ka-boom, i oto jest – trup nieboszczyk. Nie sądziłem, by przyszło mi to z taką łatwością jak Johnie Travolcie i Samuelowi L. Jacksonowi w *Pulp Fiction*.

– Swoją drogą, wiesz – ciągnie Tomek, opróżniając puszkę piwa. – Ciekawe, jak to jest, tak naprawdę zabić. W rękach trzymać przeznaczenie, jego panem być.

– Nie wiem. Ale wiesz, wydaje mi się, że to jest trochę jednak trudniejsze niż na filmie.

– A wiesz, to na pewno. Jest u mnie w klasie taki łebek, nie znasz, jego ojciec jest policjantem i opowiadał mi, że taki gówniany pistolecik, wiesz, jak się źle go trzyma, to może wyrwać dłoń z zawiasów. Znaczy, że wiesz, szarpie jak cholera.

– Pewnie tak.

Kojarzę chłopaka, często przychodzi do szkoły z nową historyjką zasłyszaną od ojca. Opowiada Tomkowi o wszystkim, a on mnie. To właśnie z tego źródła dowiedziałem się, że jeżeli policjanci przyjeżdżają do potrącenia pieszego, pierwsze na co zwracają uwagę, to czy potrącony człowiek ma buty. Jeśli uderzenie było tak mocne, że wyrwało ofiarę z butów, zazwyczaj to samo robiła z jej życiem. Albo dziesiątki i dziesiątki opowieści o samobójcach, w jakich okolicznościach i gdzie się powiesili. Chłopak na strychu, bo rzuciła go dziewczyna; zadłużony czterdziestolatek, który powiesił się na drzewie przy torach, przez co widział go

każdy, kto rano jechał z okolicznych wiosek do pracy w mieście; trzydziestolatka przegrała walkę z deprecją; albo koleś, który powiesił się na klamce od drzwi – tego przypadku nigdy nie zdołałem zrozumieć.

Niestety, polski policjant w kilkutysięcznym mieście niewiele ma okazji, by uczestniczyć w strzelaninie, a co za tym idzie – zastrzeleniu podejrzanego.

Być może gdyby Tomek usłyszał choć jedną taką historię, jego ciekawość dałaby mu spokój.

Film leci dalej, a my otwieramy po drugim piwie i oglądamy. Jest piątek wieczór, koniec szkoły, dzięki Bogu. To jeden z tych dni, a właściwie wieczorów, podczas których urządzamy maraton naszych ulubionych filmów. Oglądamy wszystko, co się da. A „co się da” oznacza krew, morderców, zagadki kryminalne. *Urodzeni mordercy*, *Kalifornia*, *Siedem*, *Harry Angel*, *Pulp Fiction*, *Hellraiser* i *Freddy*. Lato minęło, na dworze nie ma nic do roboty, to organizujemy sobie kasety i oglądamy je w kółko. Codziennie filmy są dla nas jak Biblia. Te, których nie widzieliśmy wcześniej, oglądamy po kilka razy, przewijamy ulubione sceny – jak na przykład scenę obżarstwa w *Siedem* – i stopujemy, by bardziej przyjrzeć się szczegółom, które umknęły nam podczas poprzednich seansów. Spędzamy na tym całe wieczory, a gdy nocujemy u siebie – noce. Część z nich pamiętam aż za dobrze, te same sceny, nawet w snach je widzę.

Często pytają się mnie teraz o rodziców; czy wiedzieli o wszystkim. Ale nie bardzo rozumiem o czym. Że oglądaliśmy filmy? Oczywiście, że tak. Że były to krwawe horrory? Jasne. Co w tym dziwnego? Mamy po szesnaście lat, większość łebków w naszym wieku pali trawę, spora część nią handluje, część z nich nie tylko trawą, ale i amfą, jeszcze inni ją biorą, chleją do upadłego przynajmniej raz w tygodniu. A my tylko oglądamy filmy. A że krwawe? O rety, też mi coś.

Wcześniej wiele razy rozmawialiśmy o tym, jak by to było naprawdę. Nie przypominam sobie, byśmy poruszali ten temat wcześniej. Kogo bym zastrzelił, hm, no nie wiem, wiele osób, mógłbym podać nawet podzielić je na kategorie. Pierwsza – ci, których nie lubię. Druga – ci, których nie znam, bo będą mi obojętni, proste. No i trzecia, która łączy dwie pozostałe – abstrakcyjna. Takie to banalnie proste. Chętnie mawiałem, że zabiłbym tego i tamtego, w taki lub takowy sposób, bo wszystko rozgrywało się tylko i wyłącznie na płaszczyźnie teorii, nic nie wychodziło poza jej granice.

– A gdzie byś to zrobił? – pyta Tomek, wkładając do odtwarzacza kolejną kasetę. – Wiesz, gdybyś miał wybrać miejsce?

– Tam, gdzie zawsze jest ciemno i gdzie prawie nikt nie chodzi.

Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– No, wiadomo – przytakuje, przekręcając oczami. – Ale gdzie? Może w parku pod lasem, na torach, przy garażach...

Zdecydowanie nie. Znam te wszystkie miejsca, faktycznie, mało uczęszczane miejscówki, zwłaszcza w godzinach wieczornych, jednak nie pasują. Gdybym miał wybierać, gdybym musiał.

Nasze miasto ma wiele takich martwych punktów, gdzie nikt się nie zapuszcza, na przykład za działkami. Ciągną się tam wały i pagórki, oraz krzaki. Wszędzie pełno krzaków. To byłoby świetne miejsce, nikt tam nie chodzi, bo nie ma po co. Teren trochę bagnisty, można by nawet dobrze ukryć ciało. Gdy byłem młodszy, po osiedlu krążyły ponure historie o żyjących piżmoszczurach wielkich jak koty. Łatwo wyobrazić sobie, jak taka ogoniasta rodzinna, ohydnie piszcząca, dobiera się do ciała i ogryza z prawie wszystkiego, zostawiając tylko kości. Te małe, czarne oczka, wielkie zęby, prawie jak u bobra, długie szczurze ogony i ludzki trup. Na samą myśl po moich plecach zjeżdżają zimne dreszcze.

Tylko problem z takim miejscem jest taki, że tam naprawdę nikt się nie zapuszcza, bo i po co? Ofiara raczej dobrowolnie nie da się zaprosić na wypad na bagna, prawda? Moglibyśmy tam czekać noce, dni, tygodnie.

Dlatego myślę o kładce.

Kładka jest małym metalowym mostkiem nad niewielką rzeczką, która oddziela blokowisko i osiedle domków jednorodzinnych. Rzeka jest płytka, w okolicach kładki najgłębsze miejsce było tam, gdzie woda smyrała mnie po jajkach, często też kręciły się tam dzikie kaczki, które przyzwyczały się do rzucanego im chleba przez dzieciarnię maszerującą z lub do szkoły. Zarówno rzekę, jak i kładkę otaczają wysokie na kilka metrów krzaki, a szum wody idealnie stłumi różnego rodzaju hałas. Taki jak na przykład krzyk.

Nie tak często, ale kilkakrotnie w życiu miałem okazję przechodzić tamtędy nocą. Lamp tam nie ma, bo nie ma chodnika, jest tylko wydeptana do twardej ziemi ścieżka. Metalowe części kładki dudnią złowieszczo, gdy idziesz po niej.

To idealne miejsce.

Moja wyobraźnia podsuwa mi je w mniej niż sekundę, po prostu pojawia się i tak już zostaje, gotowa odpowiedź, gdzie...

Gdzie to zrobić.

Gdzie to zrobimy.

Nie pada żadna data, żaden konkretny dzień. Ta decyzja w nas rośnie, dojrzewa, każdego wieczoru przy piwie nabiera kształtu i sensu, że dlaczego by nie spróbować? Mówię Tomkowi o kładce – niemal podskakuje z radości, zachodząc w głowę, dlaczego on sam nie wpadł na taki genialny pomysł.

– Przecież to zajebiste miejsce – mówi podekscytowany. Siedzi na parapecie przy otwartym oknie i jara szluga.

– No wiem. – Stoję przy drzwiach jego pokoju na czatach. Gdy wypala połowę, zamieniamy się miejscami.

Nie planujemy tego, znaczy się, inaczej – nie podejmujemy decyzji, bo podejmuje się sama. Rozmawialiśmy o tym, kiedy moglibyśmy to zrobić albo czym, ale ani razu nie padł ani jeden konkret. Żadnej daty, narzędzia zbrodni, niczego. Bawimy się tą myślą, fantazjujemy, a w tle hałasuje motor piły mechanicznej z *Teksańskiej masakry*. Wiecie, jak to jest. Jakaś nauczycielka wystawi wam lufę za brak pracy domowej, wpisze uwagę do dziennika, wezwie rodziców do szkoły. Mówicie, jak ją zmasakrujecie, poprzebijacie opony w samochodzie, wybijecie szyby. Zrobicie to wszystko, a na koniec nasracie na wycieraczkę, lecz ostatecznie nic podobnego się nie dzieje. Właśnie takie są nasze rozmowy, pełne emocji i ekscytacji, ale pozbawione konkretów i całej tej otoczki, że naprawdę to zrobimy. Tylko sobie rozmawiamy.

Osiemnastego listopada, wieczorem, podczas kolejnego seansu *Piątku trzynastego*, padają takie oto słowa:

– Ty... a może byśmy tak kiedyś... może dzisiaj.

– Tak, zróbmy to. Tak by nikt nie widział.

Plecak, w środku młotek i nóż, narzędzia zbrodni ciężą na moich plecach, objają się o siebie. Idziemy pod osłoną nocy, po cichu, w tle szumi woda. Idziemy zabić i zrobimy to, bez dwóch zdań.

Po drodze zachodzimy do Damiana. Damian ogląda z nami filmy, czasami, od czasu do czasu nagrywa jakieś na Polsacie i przynosi, ale trzeba przewijać reklamy.

– Po co? – chce wiedzieć, gdy pytamy, czy wyjdzie. Próbuje ukryć emocje, ale średnio się to udaje. Wie, że coś knujemy. – I gdzie?

– Chodź – nalega Tomek. – Zobaczysz.

– Nie, nie chce mi się, późno już. Wpadnijcie jutro.

– Jak chcesz.

Odchodzimy, zerkając w stronę jego domu.

Przecinamy blokowisko, nie mówiąc nic. Zimno, niebo czyste, podziurawione gwiazdami. Zapaliłbym, ale zapomniałem fajek. Trudno. Mijamy ostatni blok, mijamy plac zabaw i zbliżamy się do wydeptanej ścieżki, która niknie w ciemnościach i pogrążonych w nich krzakach.

– Tylko pamiętaj, bez hałasu, bez zbędnych emocji – mówi Tomek.

– Serce mi dudni jak cholera – szepczę. Głowa lata mi na wszystkie strony, boję się, że ktoś nas namierzy. – Ale jak chcesz to zrobić?

– Przestań analizować, człowieku – Tomek wyciąga z plecaka nóż i młotek. Waży obydwa w dłoni, zastanawia się, oddaje mi nóż, młotek znika w jego rękawie. – Po prostu, kurwa, dźgaj, najlepiej w gardło. Nie będziemy wybierać, ten kto pierwszy, pierwszy, który się trafi. Poczuj w sobie siłę i rób tak, żeby zabić.

Już na ścieżce z ciemności wyłania się zarys kładki. Szum rzeki tłumi dudnienie serca.

Tomek pochyla się delikatnie, zaczyna skradać i za chwilę wiem dlaczego.

Przy kładce, po drugiej stronie rzeki, stoi człowiek. Skradam się zaraz za Tomkiem. Chcę go spytać, co teraz, jak to robimy, ale nie tylko to. Zaczynam mieć wątpliwości, no bo jak to, tak po prostu zabić? Fajnie się o tym rozmawia w domu, bezpiecznie, legalnie, bez konsekwencji, ale zabić człowieka to zabić człowieka. Tego nie da się cofnąć, przewinąć jak kasety VHS. Żeby chociaż pauza była, można by się zastanowić, ocenić za i przeciw.

To jednak nie film, a Tomek zachowuje się jak rasowy drapieżnik, doświadczony, groźny, niemal piękny. Wchodzi na kładkę, a osoba po drugiej stronie patrzy w krzaki, więc go nie widzi. Ja go widzę, widzę postać, już wiem, że to kobieta. Jej instynkt ją zawodzi, przeczucie śpi, bo Tomek wchodzi na kładkę, przechodzi po niej, bierze zamach i uderza.

I znowu.

I znowu.

Kobieta pada dopiero po trzecim razie. Ma jakieś pięćdziesiąt lat, płaszcz i berecik i zaraz umrze. Tomek tłucze jej głowę młotkiem jeszcze raz i jeszcze raz.

Gdy dochodzę na miejsce, jest już po wszystkim. Tomek spogląda na mnie, patrzę mu w oczy, jest ciemno, ale i tak widzę, jak świecą z ekscytacji i emocji.

– Patrz, jak pięknie – mówi cicho, bardziej do siebie niż do mnie, pokazując palcem na kobietę. Nie rusza się, jej głowa leży w coraz większej kałuży krwi, która płynie z potrzaskanej głowy. – Prawie tak jak w filmach.

Cisza. Cisza dookoła otacza nas wraz z ciemnością.

Tomek pochyla się nad nią, ja się rozglądam. Krew pulsuje w skroniach, rozsadza czaszkę, ręce drżą – nie wiem, z podniecenia czy ze strachu, tysiące myśli na sekundę i żadna konkretna. Tomek coś mówi, pokazuje palcem, porównuje do sceny, chichocze nerwowo, śmieje się i mówi coś o filmach.

– Patrz, jak pięknie – powtarza. – Zapamiętaj to, chłopie, zapamiętaj, nasza pierwsza ofiara.

Zaciskam i rozluźniam pięści, oddycham płytko i szybko. Czekam na coś w środku, jakieś głębsze uczucie. Nic takiego się nie dzieje. Z kobiety, wraz z krwią, uchodzi życie, niemal je czuję, coś niby jak ciepło, morderstwo, zabójstwo.

Kobieta nie żyje, zamordowaliśmy ją, bo tak. Mordercy, bestie. Tak nas później określą w gazetach. Sędzia będzie patrzył z obrzydzeniem, broniący mnie adwokat nawet nie będzie udawał, że mu na mnie zależy. Będzie wyrok – dożywocie, a jakże. Ale to nie za nią je dostaniemy.

– Babciu? – słyszymy. Dziewczynka wychodzi z krzaków, patrzy na nas, zdziwiona tylko trochę mniej od nas samych. Ma nie więcej niż sześć lat. – Babciu? – powtarza.

To za nią dostaliśmy dożywocie.



PŁASZCZYK

Mateusz Dębski

Te zdarzenia wydają się tak odległe, jednak w moim sercu pozostaną aktualne na wieki. Psychika ludzka potrafi władać czasem, modyfikować go we własny, pokręcony sposób. Zdarzenie to, w którym miałem swój udział, zostało owiane legendą i poprzez nieustanne powtarzanie weszło w kanon historii opowiadanych w celu straszenia dzieci. Może i dobrze? Cóż może być lepszym materiałem do nauki niż nieszczęście bliźniego? Szczególnie gdy jest młody i niewinny? Posłuchaj cierpliwie i nie oceniaj! Pozwól mitom odejść w dal, ponieważ wyłaniająca się prawda jest o wiele obrzydliwsza niż jakakolwiek fantazja pisarza.

Zawsze stroniłem od ludzi, a już szczególnie w czasach młodości. Nie mogłem jednak siedzieć cały dzień w swym azylu, ponieważ wymogi życia codziennego zmuszały mnie do

pracy. Niczym dar z jasnego nieba spadła na mnie propozycja pewnego człowieka, którego spotkałem w czasie moich porannych przechadzek. Ów jegomość potrzebował kogoś, aby zajął się lasem i zamieszkującą go zwierzyną. Nie miałem pojęcia o tym zawodzie, więc w całej swej niewinności spytałem, na czym ma praca polegać. Wyjaśnił mi krótko, że będę musiał odstraszać kłusowników i doglądać miejsc, gdzie wykładane jest jedzenie dla zwierząt. Czy mogło mnie spotkać coś lepszego, doprawdy nie wiem. Rozochocony przyjąłem od razu ofertę. Peter, bo takie nosił imię, dopiero później wyjaśnił mi, że muszę zamieszkać w chacie znajdującej się w samym środku lasu. Biedaczyna obawiał się, że odstraszy mnie to i nie wezmę pracy! Był wielce zdziwiony moją reakcją i pytaniem, czy mogę zacząć pracę od zaraz. Słodka samotność owiana jedynie odgłosami głuszy i cieniem lasu.

Następnego dnia pokazał mi miejsce, które miało stać się moją nową siedzibą. Okazało się, że sam był tutaj leśnikiem przez długie dekady. Teraz odchodził na emeryturę, a młodzi nie garnęli się do takiej pracy, jak sam stwierdził. Nauczył mnie obsługiwać broń i pokazał najważniejsze miejsca. Dopiero wtedy wspomniał o wynagrodzeniu, nie pytałem o nie wcześniej z powodu mojej wielkiej fascynacji nową służbą. Dopiero gdy stary poszedł, w pełni rozgościłem się i ze spokojem rozpocząłem nowy etap mojego życia.

Dni płynęły, a ja spędzałem czas na lekturze i spacerowaniu po lesie. Wspomnienia o kłusownikach musiały być jedynie jakąś formą zachęcenia do podjęcia pracy. Nikt nie pojawiał się w lesie, a wokół panowała codzienna, przyjemna monotonia. Z tego powodu codziennie wstawałem uśmiechnięty! Aż do tego dnia... Nawet teraz nie chcę o tym wspominać, za każdym razem psuje to mój nastrój. Jedynie drugi człowiek może zepsuć harmonię i piękno przyrody, odciskając na niej swoje pokręcone piętno. Dawniej pohukiwania sów i nocne odgłosy zwierząt działały na mnie uspokajająco. Teraz sam nie wiem, co myśleć...

Pewnego ranka wybrałem się na kolejny obchód. Wokół panowała jesień i można było odczuć ją całym ciałem. Kolory zmieniły się, wraz z nimi temperatura, dźwięki, a nawet zapachy. Wtedy po raz pierwszy mój idealny świat został naruszony przez jakąś diabelską rękę. W oddali zauważyłem jakiś kształt, po tylu latach pracy – doprawdy nie wiem, kiedy minęły – rozpoznawałem zjawiska bez chwili zastanowienia. Musiało to być truchło jakiegoś zwierza, najprawdopodobniej jelenia. Nie zdziwiłem się ani nie przeraziłem, albowiem było to coś najzupełniej normalnego. Zwierzęta polowały na siebie, nowe przychodziły na świat i w ten sposób nieprzerwanie trwał cykl życia i śmierci. Dopiero po oględzinach moja ciekawość zaczęła rosnąć. Zwierzę zostało zabite przez człowieka, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ciało młodego jelenia było pocięte, dosłownie pokryte jakimiś

znakami. Czułem rozkład zwłok, który unosił się na dość sporym obszarze. Dlaczego więc nikt nie ruszył ścierwa? Jeżeli czegoś nauczył mnie las, to gospodarności. Wszystko było wykorzystane w taki czy inny sposób, nic się nie marnowało. A jednak klęczałem przy zmasakrowanych szczątkach, których żadne zwierzę przede mną nie chciało ruszyć. Postanowiłem zostawić jelenia tak, jak leżał. Gdy wrócę tu za tydzień, z pewnością pozostanie po nim jedynie szkielet.

Nie mogłem bardziej się mylić. Nie dość, że truchło pozostało, to jeszcze akty znęcania się nad zwierzętami zaczęły pojawiać się regularnie. Po dłuższym czasie stwierdziłem nawet, że ów artysta nabiera wprawy. Dziki, jelenie, a nawet niektóre ptaki były opieczętowane coraz to nowszymi znakami. Od początku wiedziałem, że ta makabra nie jest dziełem kłusowników. Ci wzięliby potrzebne skóry czy choćby mięso i uczyniliby z niego pożytek. Jednak nie to było najgorsze! Dlaczego zwierzęta nie ruszały padliny? Byłem na tyle wstrząśnięty, że udałem się do Petera. Najpierw patrzył na mnie z niedowierzaniem, lecz po chwili podał mi parę adresów. Były to domy położone najbliżej lasu. Nie było ich wiele, jedynie pięć. Trzy z nich okazały się opuszczone, w jednym z pewnością ktoś mieszkał, ale nigdy nie mogłem na niego trafić. Ścieżka także nie była uczęszczana, nie było na niej żadnych śladów.

W ten sposób trafiłem do ostatniego domu. Przywitano mnie jak gościa i gdy usiadłem spokojnie za stołem, zacząłem opowiadać historię. Moją gospodynią była sędziwa kobieta, która mieszkała tam ze swoją ukochaną wnuczką. Okazało się, że mała jest sierotą i jedyną osobą troszczącą się o nią jest właśnie babcia. Dziewczynkę dostrzegłem jedynie kątem oka, nie chciała mi się pokazać. Staruszka wyjaśniła, że jest bardzo wstydliwa. Któż nabrałby podejrzeń po takiej wizycie? Gdybym wtedy wiedział...

Nie mogłem pozostawić sprawy samej sobie. Zaznaczyłem na mapie tereny, gdzie najczęściej działał tajemniczy oprawca. Spędziłem wiele nocy i dni na czuwaniu. Nawet książki nie mogły oderwać mnie od mojego zadania! Z każdym dniem byłem coraz bardziej podekscytowany! Wraz z podnieceniem nasilał się lęk przed spotkaniem z obrzydłą postacią, która za swój materiał do obróbki wybrała żywy organizm. Nagle coś mignęło mi przed oczyma. Poczułem, jak włos jeży mi się na całym ciele. Księżyc świecił jasno na niebie, ale las zawsze dbał o swoje sekrety, więc panował w nim półmrok. Śledzenie owego stworzenia nie było trudne, nosiło zbyt jaskrawe futro. Wtedy z wielu powodów uznałem, że to zwierzę. Człowiek bardziej maskowałby się przed ciekawskim spojrzeniem. Jednak nigdy nie widziałem tak wielkiego lisa, właśnie z tym zwierzęciem kojarzył mi się kolor.

Straciłem mój cel z oczu, ale byłem spokojny. Nauczyłem się używać wszystkich zmysłów, mój słuch nigdy nie zawodził mnie w głuszy. Także teraz był moim wiernym przewodnikiem. Wrzask zaatakowanego zwierzęcia ukłuł mnie w ucho niczym sztylet. Ruszyłem w jego stronę, po czasie słyszałem dźwięk jakby szarpanego materiału. Gdy podszedłem bliżej, zauważyłem ruch i momentalnie przykucnąłem. Okazało się, że mam do czynienia z człowiekiem, słyszałem bowiem, jak mówił do siebie. Podkradłem się bliżej, ręce drżały mi ze strachu. Gdy znalazłem się dość blisko, mój lęk przerodził się w odwagę.

– Kim jesteś i co tu robisz? – zawołałem donośnie. Wezwana osoba zdawała się nie reagować. Została zaskoczona w środku nocy, w ciemnym i odludnym lesie, a mimo to nie przeraziła się, jedynie mamrotała coś do siebie w niezrozumiałym języku. Dopiero gdy ponowiłem wezwanie, obróciła się powoli. Dopiero teraz pokojarzyłem fakty! Ten czerwony płaszczyk oraz niebieskie oczy! Nie były jednak napełnione lękiem, wręcz przeciwnie – zdawały się pałać nienawiścią. Dziewczynka dźwignęła rękę i światło księżyca odkryło ostrze znajdujące się w jej ręce. Za nią leżał wilk, był już w połowie „udekorowany” dziwacznymi wzorami. Dziewczynka poczyniła krok w moim kierunku. Ostrzegałem ją, ale nie słuchała! Przysięgam na wszystko, że nie chciała się zatrzymać! Gdy dotykam blizny po ranie, którą obdarowała mnie tej nocy, zawsze przypomina mi się szaleństwo mieszkające w jej oczach. Moment ten już na zawsze pozostawił mnie odmienionym. Gdy człowiek staje oko w oko z otchłanią, nie ma tak naprawdę żadnego wyboru. Życie chce przetrwać i nie szanuje ani płci, ani wieku. Młodość czasami musi odejść przedwcześnie. W tym przypadku zwichrowane truchło i pokręcone myśli już dawno rozszarpały tę biedną duszyczkę. Mnie pozostało jedynie uwolnić ją od więzienia, którym było jej ciało.

Nad ranem udałem się do starej kobiety, aby zadośćuczynić przynajmniej w minimalnym stopniu zbrodni, której dokonałem z czystego strachu. Gdy zapukałem, nikt nie odpowiadał. Drzwi były jednak otwarte i postanowiłem wejść. Do teraz żałuję tej decyzji! Biedaczka leżała na łóżku, ale nie przypominała samej siebie. Była obdarta ze skóry, a jej łono było rozerwane, niczym po porodzie jakiejś bestii. Jak zapomnieć takie obrazy? Było tam coś jeszcze, całkowicie nieuchwytnie i ukryte w mrokach pokoju. Dreszcz przenikał moje ciało, a dusza wzywała do ucieczki. Ponownie stchórzyłem. Odwróciłem się na pięcie i już nigdy nie powróciłem w to miejsce. Byłem jednak przekonany, że coś się tam narodziło. Coś zupełnie niepasującego do harmonii pięknego lasu.

Najpierw chciałem zrezygnować z pracy, ale gdzie miałem się udać? Zadbalem o pochówek babki i wnuczki a sam wróciłem do swojego azylu.

Czasem słyszę w oddali dźwięk targanego materiału i włos jeży mi się na głowie. Nigdy już nie dowiem się, co było motywem działania tej biednej istoty. Być może tak będzie lepiej... Niech ludzie wierzą w dziecinną niewinność, lepsze to niż lęk przed własnym potomstwem. Ja jednak postanowiłem zostać kawalerem, pasowało to zresztą do mojego stylu życia. Jeżeli najdzie was chęć spacerowania po lesie, upewnijcie się, abyście nie spuszczali własnych dzieci z oka, jeżeli dalej macie zamiar przywoływać nowe istoty na ten świat. Inaczej może stać się komuś krzywda...

KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



Z KOMIKSAMI ZVYRKE LATO TRWA WIECZNIE

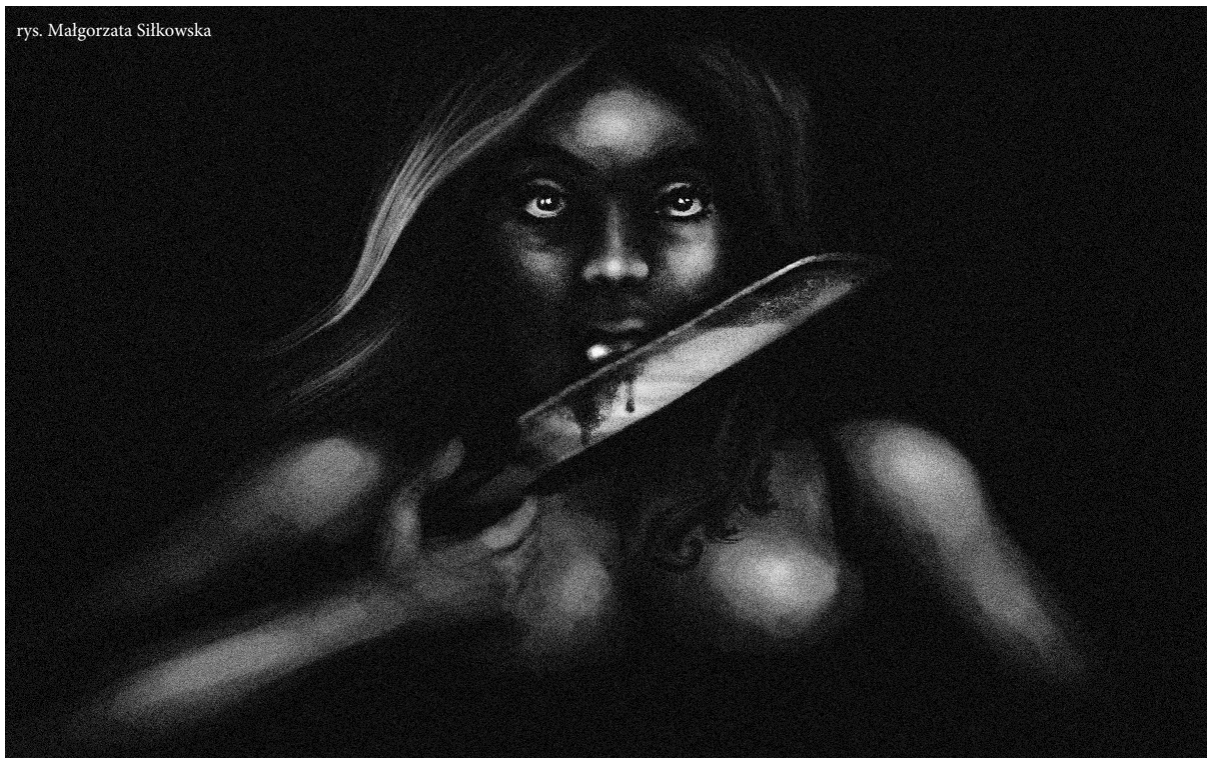
ZVYRKE.SELINO.PL FB.COM/ZVYRCOMICS

INSTAGRAM.COM/ZVYRKE



(LUB WYSZUKAJ „ZVYRKE” NA GILDIA.PL)

rys. Małgorzata Silkowska



PÓKI ŚMIERĆ NAS NIE ROZŁĄCZY

Jacek Pelczar

Nóż ślizgał się po ostrzałce wolnym, prawie pieszczotliwym ruchem. Chrząścił i świszczał delikatnie, jakby dawał znać, że ta pieszczota sprawia mu przyjemność. Szybko została ona jednak przerwana. Wprawne dłonie delikatnie przeciągnęły wilgotną szmatką po lśniącem ostrzu, które błyszczało w promieniach popołudniowego słońca, wdzierających się przez otwarte okno. Następnie jednym zdecydowanym cięciem nóż zagłębił się w mięso. Darł tkanki bez najmniejszego oporu, jak gdyby wchodził w ciepłe masło. Samotna kropla krwi spłynęła na rękojeść, potem na zaciśnięte na niej palce i dalej, na nadgarstek. Kobieta

trzymając narzędzie podniosła dłoń do twarzy i zlizwała z niej posokę. Powoli. Z lubością. W tym momencie zgrzytnął zamek, a chwilę później drzwi trzasnęły z łoskotem.

– Cześć piękna! – dobiegł stłumiony głos z przedpokoju. – Co gotujesz?

– Hej! Filet mignon z opiekаныmi ziemniaczkami i szparagami na maśle – odkrzyknęła Agata. – Ale będziesz musiał poczekać. Dopiero kroję mięso.

Kamil wpadł do kuchni. Po drodze zdjął buty i zostawił torbę. Złapał swoją narzeczoną w mocny uścisk i pocałował.

– Ubrudzisz się! – krzyknęła i próbowała się od niego odsunąć.

– Tęskniłem za tobą – odpowiedział. Dalej ją obejmował.

– Ja za tobą też. – Uśmiechnęła się i spojrzała mu głęboko w oczy. Uwielbiała, gdy na nią patrzył. – Zdasz wziąć prysznic, jeśli chcesz. Zajmie mi to jeszcze z pół godziny.

– E, tam. Wolę się tutaj i popatrzeć, jak gotujesz.

– Jesteś niemożliwy. – Pokręciła głową w udawanej złości, ale rumieniec na policzkach powiedział Kamilowi, że odczytała to jako komplement.

Poluzował krawat, rozpiął guzik kołnierzyka i usiadł na jednym z kuchennych krzeseł. Agata wróciła do krzątania się po kuchni. Uwielbiał obserwować jej ruchy. Nie tylko przy gotowaniu, ale w każdej innej sytuacji: kiedy tańczyła, sprzątała, pływała, spacerowała. Mimo że wiele osób określiłoby ją jako pulchną, miała w sobie niesamowitą grację. Stąpała z taką lekkością, jakby jej stopy nie dotykały ziemi. Był w niej też seksapil. Aż nim kipiała. Każdy jej ruch, każda poza, to, jak wyciągała blachę z piekarnika, jak ssła końcówkę długopisu, jak w zamyśleniu wodziła końcówkami palców po szyi – wszystko ociekało erotyzmem, którego mogłaby jej pozazdrościć niejedna hollywoodzka gwiazda. Kamil wołał więc oglądać ją niż jakikolwiek film. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, był zdumiony, że po ponad dwóch latach wspólnego życia ona wciąż tak bardzo go podnieca.

– Jak było w pracy? – zapytała i wyrwała go z zadumy.

– Nudno. Jak zawsze – odparł z ociąganiem, ale dalej nie spuszczał z niej oczu.

– Nic fajnego się nie stało? – nie poddawała się.

– Jeden facet chciał wyłudzić ubezpieczenie i obił sobie bok auta łańcuchem. Tomkowi znowu rąbnęli jogurt z lodówki. To, co zawsze. A u ciebie?

– Zaczęłam nowy projekt. Stronę dla salonu meblowego. Skarbie, żebyś ty widział, jakie oni tam mają rzeczy!

Zakręciła się w piruecie. Jej fartuszek zafurkotał w powietrzu. Burza kasztanowych włosów zawirowała, a niesforne kosmyki opadły na rumianą buzię. Bujne piersi zafalowały

i poddały ciężkiej próbie wytrzymałość materiału, z którego zrobiona była ciasna bluzka dziewczyny. Kamil głośno przełknął ślinę.

– Boże, jakaś ty piękna – powiedział i potrząsnął głową.

Agata przyłożyła jedną dłoń do twarzy, zakołysała szerokimi biodrami, zaczęła wiercić palcami jednej stopy po powierzchni podłogi – zupełnie jak zakłopotana mała dziewczynka. Po chwili podniosła na narzeczonego wielkie piwne oczy, a ręką, w której trzymała nóż, złapała za róg fartuszka i dygnęła.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego. – Ale posłuchaj do końca, oni mają tam taką kanapę, która idealnie pasowałaby do naszego salonu... – rozgadała się na dobre i nie pozwoliła już sobie przerwać.

Kamilowi to nie przeszkadzało, Lubił jej słuchać. Uspokajał go tembr jej głosu. Następne pół godziny, które Agata potrzebowała na skończenie obiadu, spędził na potakiwaniu, zadawaniu zdawkowych pytań i uważnym obserwowaniu swojej ukochanej. Czasem tylko, gdy była odwrócona tyłem, nieznacznie marszczył brwi, jakby intensywnie o czymś myślał, czymś się martwił. Ale zawsze trwało to tylko chwilę, a potem jego twarz się wypogadzała.

Usiedli do obiadu, który jak zawsze był po prostu niesamowity. Agata gotowała tak dobrze, że Kamil wzbraniał się przed chodzeniem do restauracji. Wychodzili rzadko i tylko dlatego, żeby co jakiś czas wyrwać się z domu i pójść gdzieś na randkę. Po skończonym posiłku siedzieli jeszcze przez chwilę i rozmawiali. Planowali wypad do kina. W pewnym momencie Agata spojrzała na zegar wiszący na ścianie i nerwowo drgnęła.

– Jezu, skarbie, ale się zagadaliśmy, muszę uciekać!

– Co? Znowu? Gdzie? – zdziwił się Kamil.

– Mówiłam ci przecież. Umówiłam się z Beacią na zakupy. Pewnie wyskoczymy też na jakiegoś drinka. Nie martw się, powinnam być z powrotem przed północą.

– Przed północą? – Grymas niezadowolenia znowu zagościł na czole mężczyzny. – Strasznie długie zakupy.

Agata podniosła się i obeszła do połowy mały okrągły stolik, przy którym jedli. Jedną ręką zabrała talerz, drugą ujęła Kamila delikatnie pod brodę i go pocałowała.

– Kobieta potrzebuje spotykać się z przyjaciółką – powiedziała. – Inaczej zwariuje. Jutro jestem cała twoja. – Wyprostowała się i przejechała wolną dłonią po swoim ciele, od obojczyka do uda. – Cała. Dobrze?

Kamil uśmiechnął się samymi kącikami ust. Spojrzał na nią, niczym szczenię błagające swoją panią o uwagę, i skinął głową.

– Jasne, kochanie – powiedział w końcu. – Baw się dobrze.

Kamil samotnie przemierzał duży pokój. Krążył od jednej ściany do drugiej z założonymi rękami. Co jakiś czas wyciągał z kieszeni smartfona, obracał go w dłoni, przyglądał mu się, a potem chował z powrotem. W końcu wyciągnął z szafki napoczętą butelkę wódki, stojącą w niej od czasu ostatniej imprezy, którą urządzili u siebie. Odkręcił, ostrożnie zbliżył nos do gwintu, powąchał. Skrzywił się i odłożył flaszkę na stół. Nie lubił wódki, ale próbował się uspokoić. Po raz nie wiadomo który sięgnął do kieszeni po telefon. Coś innego jednak przykuło jego uwagę. Wyciągnął z szafki małe, czarne, welurowe pudełeczko. Obrócił je delikatnie w palcach i otworzył. Było puste. Oczywiście, że było puste, bo pierścionek, który w nim przyniósł, spoczywał na palcu Agaty. W tym właśnie był problem.

Kiedy prawie miesiąc wcześniej Kamil wreszcie zdobył się na odwagę, ukląkł przed Agatą na jedno kolano, pokazał jej pierścionek zaręczynowy i spytał, czy zostanie jego żoną, reakcja kobiety przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Rzuciła mu się na szyję i krzyczała „Tak, tak, tak!”. Przewrócili się obydwaj na podłogę, po której teraz chodził, i tam już zostali przez długi czas. Kochali się ze sobą namiętnie. Potem jednak... Potem jednak nie stało się nic. Kamil spodziewał się, że jego narzeczona od razu zacznie planować wesele, układać listę gości, przygotowywać menu, szukać sali. Cekał, aż poprosi go, by pomógł jej wybrać tort. Chciał, żeby urządziła wieczór z przyjaciółkami, na którym dziewczyny będą szukać dla niej sukni ślubnej. Agata zawsze wszystko planowała. Zawsze przejmowała inicjatywę i organizowała każdą imprezę, każde wydarzenie. Taka po prostu była, wulkan energii ukierunkowanej na konkretne działanie. Tymczasem tuż po zaręczynach oboje wrócili do normalnego życia, do codzienności i jedyną widoczną zmianę stanowił pierścionek na palcu ukochanej. Była też inna zmiana, mniej widoczna dla wszystkich poza Kamilem – jego narzeczona coraz częściej znikła z domu. Zawsze miała jakiś powód: wyjście z koleżankami, wizyta u matki, wolontariat w domu opieki, który niedawno podjęła. W efekcie nie spędzali ze sobą więcej niż dwa, może trzy wieczory w tygodniu. Na temat ślubu nie rozmawiali. Za każdym razem kiedy próbował podjąć temat, ona zbywała go szybko.

Kamil schował na miejsce butelkę wódki i pudełeczko po pierścionku. Jeszcze raz spojrzał na komórkę. Kilka dni temu zainstalował na niej aplikację służącą do śledzenia innych telefonów. Zainstalował ją też potajemnie w urządzeniu Agaty. Teraz wystarczyłoby, żeby uruchomił program i mógłby się dowiedzieć, gdzie jest jego narzeczona. Nie potrafił się

jednak na to zdobyć. Czuł, że pogwałciłby tym jej prywatność i zawiódłby zaufanie, którym się darzyli. Miał już wystarczająco wyrzutów sumienia tylko przez to, że w ogóle przyszło mu do głowy śledzenie narzeczonej.

Schował komórkę i poszedł do łazienki, żeby odbyć wieczorną toaletę i przygotować się do snu. Już miał wychodzić z łazienki i iść do sypialni, ale kiedy wyrzucał do kosza nie dentystyczną, coś przykuło jego uwagę – był to kawałek ozdobnej papierowej torby, obrzucony chusteczkami do demakijażu i rolkami po papierze toaletowym. Rano jej tam nie było, nie miał co do tego wątpliwości. Schylił się, wyciągnął ją z kubła i obejrzał dokładnie. Na czerwonej tasiemce był zawieszony kartonowy bilecik z nazwą firmy znanej z produkcji ekskluzywnej bielizny. Kamil zdecydowanym krokiem wyszedł z łazienki i udał się do sypialni. Otworzył szufladę w komodzie, w której Agata trzymała nocną garderobę. Przejrzał wszystko, ale nie znalazł niczego, w czym by jej nie widział. Przeszukał inne szuflady, szafę, szafkę nocną, zajrzał pod łóżko, materac i poduszki. Nie znalazł niczego, co mogłoby zostać przyniesione w znalezionej torbie.

Wyjął z kieszeni komórkę. Mokre od potu palce ślizgały się po ekranie, który nie chciał działać. Kamil czuł, jak jego puls przyspiesza, jak serce łomocze w piersi. W końcu udało mu się wcisnąć ikonę aplikacji i wybrać opcję „Pokaż lokalizację”. Niebieska kropka, która symbolizowała na mapie Agatę, nie przebywała nigdzie w pobliżu galerii ani pasażu handlowego. Nie było jej też w barze, pubie czy restauracji. Nie znajdowała się nawet nigdzie w pobliżu domu Beaty. Aplikacja pokazywała mu adres w środku starej dzielnicy robotniczej. Kamil włożył urządzenie do kieszeni. W pośpiechu ubrał buty, zarzucił kurtkę i wybiegł z mieszkania.

Czwartkowe noce są zwykle ciche, ta też taka była. Po krzywym, nieremontowanym od dekad chodniku, który przebiegał między blokami wzniesionymi z wielkiej płyty, błąkało się kilku nastolatków. Na ławce, znajdującej się nieopodal piaskownicy, siedziało dwóch meneli i w milczeniu podawało sobie butelkę.

Kamil zaparkował samochód na ulicy po drugiej stronie bloku, w którym, według aplikacji śledzącej, od prawie dwóch godzin przebywała Agata. Mężczyzna nie znał dokładnego adresu – nawet nowoczesna technologia ma swoje ograniczenia. Z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł określić właściwą klatkę schodową. Od trzydziestu minut

naprzemiennie patrzył w ekran telefonu i w okna, w których paliło się światło. W żadnym jednak nie dostrzegł swojej narzeczonej. Przez głowę przebiegały mu różne myśli.

„Może poszły z Beatą do jakiejś koleżanki, której nie znam?” – zastanawiał się. – „Albo może Agata wpadła na kogoś, kogo od dawna nie widziała i nie mogła odmówić zaproszenia? A może mieszka tu jakaś wedding plannerka, a narzeczoną przychodzi do niej ustalać szczegóły wesela, bo chce mu zrobić niespodziankę?”. Kamil próbował się uspokoić, ale jego umysł cały czas wracał do jednej, natrętnej myśli: „Zdradza mnie”.

Ktoś wychodził z klatki bloku, pod którym mężczyzna zaparkował. Kobieta przełożyła worki ze śmieciami do jednej ręki i nogą opuściła blokadę drzwi, po czym szybko pomaszerowała wzdłuż budynku. Zostawiła drzwi otwarte na oścież. Kamil nie zastanawiał się długo. Wyszedł z samochodu i wbiegł prosto na klatkę schodową. Przeskakiwał po dwa stopnie aż znalazł się na drugim półpiętrze. Stał na palcach, przykleił nos do wąskiego okna i znowu zaczął po kolei wpatrywać się w okna w bloku naprzeciwko. Teraz z wysokości prawie drugiego piętra widział dużo więcej. Mógł zajrzeć do środka mieszkań.

Drzwi na dole zatrzasnęły się głucho. Na schodach rozbrzmiał stuk pospiesznych kroków. Kamil wstrzymał oddech. Na szczęście, już chwilę później usłyszał chrobot klucza w zamku i odgłos zamykanych drzwi. Wrócił do obserwacji okien. Przyglądał się im przez kilka minut, a potem przeniósł się piętro wyżej. Chwilę popatrzył i znowu ruszył w górę. Zobaczył ją dopiero, gdy zatrzymał się po raz czwarty. Jego serce najpierw stanęło, a w chwilę później rozpadło się na kawałki.

Agata była naga. Siedziała okrakiem na jakimś mężczyźnie – brodatym osiłku, którego Kamil widział pierwszy raz w życiu. Ruszała się rytmicznie w przód i w tył, ale całe jej ciało zdawało się wić. Plecy wyginały się jak w tańcu, głowa podskakiwała zmysłowo, włosy rozlewały się niemal wszędzie, niczym jesienne liście unoszone przez wiatr. Ukochana trzymała się za wielkie piersi, które przelewały się na, zdawałoby się, niemożliwe sposoby. Widział ją w ten sposób tak wiele razy, chociaż nigdy z tej perspektywy. To była jej ulubiona pozycja. Kamilowi zrobiło się słabo. Poczul, jak gardło mu się zaciska, a łzy wzbierają w oczach. Otarł je rękawem i zbiegł do samochodu.

Gdyby wytrzymał jeszcze trochę, zobaczyłby, jak Agata nachyla się nad swoim kochankiem, przywiera do niego w długim pocałunku, a potem prostuje się i wyciąga ręce nad głowę. Pewnie dojrzałby błysk kuchennego noża w jej ręku, który po chwili opadł i wszedł w szeroką pierś mężczyzny. Kamil ujrzałby narzeczoną opierającą się o nóż całym ciężarem swojego ciała oraz jej ofiarę wijącą się w agonicznych konwulsjach. Na końcu doznałby całkowitego szoku, ponieważ Agata ujeżdżała konającego kochanka coraz szybciej

i stawiała się coraz bardziej dzika. Aż w końcu oboje znieruchomieli – mężczyzna w objęciach śmierci, a narzeczona Kamila w ekstazie.

Kamil jechał jak szalony. Co chwila wybuchał płaczem, trząsł się na całym ciele, bił pięścią w kierownicę. Dwa razy się zgubił. Trzy razy o mały włos nie spowodował wypadku. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Czy powinien się spakować i wyprowadzić, zanim Agata wróci? Nie zdąży. Może w ogóle nie powinien iść do domu? Może powinien zjechać z jakiegoś mostu albo wjechać w drzewo i po prostu się zabić?

– Dlaczego?! – wychlipał sam do siebie. – Dlaczego?

To pytanie nie dawało mu spokoju. Było im ze sobą tak dobrze. Tak bardzo się kochali. Dlaczego codziennie robiła mu obiad? Kupowała drobne upominki? Nalegała, żeby chociaż raz w tygodniu szli na randkę? Dlaczego robiła to wszystko, okazywała mu tyle miłości, jeżeli chciała pieprzyć się z innym? Dlaczego przyjęła oświadczyzny, skoro go nie kochała? Nie mógł tego pojąć. Z całych sił jednak, próbował zrozumieć zachowanie dziewczyny, żeby zdecydować, co robić dalej i jak żyć po tym, co zobaczył.

Kiedy dotarł do domu, postanowił przygotować się na konfrontację. Starał się wymyślić scenariusz, co powie swojej narzeczonej, gdy dziewczyna wróci. Wskoczyć od razu i zacząć rozmowę w przedpokoju? Nie, mogłaby zaraz wyjść. Zaczekać w salonie? Wszedł do dużego pokoju i się rozejrzał. Zobaczył fotel. Usiadł na fotelu. Spróbował. Wstał po chwili.

„Siadę i co? – pomyślał. – Zapalę światło, kiedy wejdzie, jak na filmach? Włącznik jest za daleko”. Kamil dalej nie wiedział, jak ma zacząć rozmowę i co ma powiedzieć. Postanowił więc chociaż wyrzucić na Agacie odpowiednie pierwsze wrażenie. Otworzył szafkę. Wyciągnął butelkę wódki. Już miał zrobić łyk, kiedy pomyślał: „Jeżeli teraz nie wiem, co powiedzieć, to co dopiero, kiedy się napiję?”. Położył flaszkę na stoliku obok fotela. „Ona jednak powinna myśleć, że piłem. To jej pokaże, jaki jestem wściekły” – kombinował. Złapał wódkę i pobiegł do kuchni. Przechylił otwartą butelkę nad zlewem. Butelka wypadła mu jednak z trzęsących się, spoconych rąk. Gdy udało mu się ją złapać i z powrotem podnieść, w środku zostało może ćwierć zawartości. „Nie. W to nigdy nie uwierzy, gdybym tyle wypił, leżałbym pod stołem”. Po chwili namysłu dołał wody, aby wypełnić butelkę do połowy. Wrócił na fotel. Usiadł i czekał. Tępo wpatrywał się w drzwi. Ciągłe przed oczami stawiała mu Agata dosiadająca tamtego mężczyzny. Wijąca się na nim.

„Czy jest jej z nim lepiej niż ze mną? Dlatego z nim sypia?” – rozważał. Oczy znowu go zapiekły. Wziął oszczędny łyk rozwodnionej wódki, żeby przyzwycząć się do nielubianego smaku. Skrzywił się, miał ochotę splunąć, ale się powstrzymał.

Jakieś pół godziny później usłyszał kroki Agaty na klatce schodowej. Nie poruszył się, gdy weszła do mieszkania. Poczuł, że jego oddech przyspiesza, a złość miesza się w nim ze strachem.

– Hej, kochanie! – krzyknęła jeszcze z przedpokoju. – Nie śpisz jeszcze?

Nie odpowiedział. Czekał. Gdy weszła do pokoju, pociągnął z butelki solidny łyk. Zatrzymała się w pół kroku. Otaksowała całą scenę z wyrazem pobłażliwego zdumienia na twarzy.

– Skarbie, co ty robisz? – spytała i lekko się uśmiechnęła, jednocześnie marszcząc brwi.

– Co ja robię?! – ryknął Kamil. – Co ty robisz?! Gdzie byłeś?!

Przyjrzała się mu, a jej twarz stężała.

– Przecież wiesz...

– Wiem? – wychrypiał i poczuł, jak strach ustępuje, a kontrolę przejmuje wściekłość.

– Żebyś wiedziała, że wiem! Widziałem cię! Widziałem! Rozumiesz?! Z nim!

– Ile widziałeś? – W jej twarzy było można wyczytać napięcie, ale głos miała opanowany.

„Ile? Nie co, a ile?” – pomyślał Kamil.

– Widziałem, jak się z nim pieprzysz! – wysyczał.

– Tylko?

– A co?! – ryknął, stracił panowanie nad sobą i łzy zaczęły cisnąć się mu do oczu. – Mało ci? Co jeszcze miałem zobaczyć?! Widziałem, jak mnie zdradzasz!

– Kamil – zaczęła, zrobiła głęboki wdech, wydawała się prawie zawiedziona. – Musisz się uspokoić. Nigdy cię nie zdradziłam. Nie w sposób, który miałby znaczenie...

– Pieprzyłaś go! – zawył i otarł twarz wierzchem dłoni. – Widziałem! Widziałem na własne oczy!

– Kamil – mówiła do niego niesamowicie spokojnie, ale zarazem poważnie. – Wysłuchaj mnie. Gdybyś nie chciał mnie wysłuchać, nie czekałbyś tu na mnie, więc pozwól mi mówić.

Patrzyła na niego przez chwilę, a kiedy się nie odezwał, spróbowała znowu.

– Kocham cię. Musisz to wiedzieć. Kocham cię najbardziej na świecie. Jak nigdy nikogo. Tego uczucia nie można zniszczyć. W żaden sposób. Jest jednak coś, czego o mnie

nie wiesz. Coś, o czym chciałam ci powiedzieć, ale nie umiałam, a teraz muszę, jeżeli mamy się pobrać.

– Pobrać? – załkał Kamil, a jego oczy załśniły. – Pobrać? Agata...

– Nic nie mów, kochany. Chcę ci coś pokazać. Pozwól mi, proszę, potem powiesz i zrobisz, co zechcesz. Dobrze?

Kamil nie wiedział, co ma myśleć. Widział, jak Agata go zdradzała, ale ona była taka spokojna, tak pewna siebie. Co takiego mogłaby mu pokazać? Czy istniał jakikolwiek sposób, by zmienić to, czego był świadkiem i by nadać zdarzeniom inną perspektywę? Nie umiał sobie wyobrazić takiej rzeczy.

– Kamil... Proszę.

Wyciągnęła do niego dłoń, a on pokręcił głową, ale mimo wszystko poszedł za nią.

Zaparkowali niemal dokładnie w tym samym miejscu, z którego Kamil kilka godzin wcześniej wpatrywał się w okna, by odnaleźć w jednym z nich swoją ukochaną. Agata zgasiła silnik, wzięła z tylnego siedzenia torebkę i otworzyła drzwi.

– Chodź – powiedziała miękko, prawie ciepło.

Jej narzeczony wysiadł posłusznie i podążył za nią do bloku. Drzwi na klatkę miały zepsuty zamek i każdy mógł przez nie wejść. Rozpoczęli marsz na szóste piętro. Kamil szedł jak na skazanie. Nie wiedział, gdzie ma podziać oczy. Pod nogami, na kamiennych stopniach, walały się niedopałki papierosów, śmieci, rozbite lufki. W kącie zauważył nawet samotną strzykawkę. Ściany, zapewne niemalowane, od kiedy oddano budynek do użytku, były całe pokryte graffiti, obkopane, a w niektórych miejscach tynk odchodził od nich płatami. Wreszcie stanęli przed sfatygowanymi drzwiami. Agata nacisnęła klamkę i otworzyła je. Puściła go przodem. Wszedł do ciemnego przedpokoju, a ona wsunęła się zaraz za nim.

Kamil pstryknął przełącznik. Światło nagiej żarówki zalało malutką kawalerkę. Zwrócony w kierunku wejścia prowadzącego do jedyne go pokoju, zmartwiał. Zajęło mu chwilę, nim pojął, na co patrzy. Na rozłożonej kanapie leżał, wciąż nagi, brodaty osilek. Na nim i dookoła niego było pełno ciemnej zasychającej krwi. Długa szrama na jego piersi ziała czernią skrzepłej juchy. Kamil chwycił się framugi, zgiał w pół i wymiotował.

„O kurwa! O kurwa! Zrzygałem się na miejscu zbrodni! O kurwa!” – to była jedyna myśl, jaka przyszła mu do głowy.

Chwilę później przypomniał sobie o Agacie. Obrócił się w jej stronę. Była nadal idealnie spokojna. W ręku trzymała duży kuchenny nóż wycelowany w jego brzuch.

– Wejdz do środka, kochanie, i usiądź na krześle – powiedziała takim tonem, jakby wchodzili do poczekalni u lekarza. – Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

– Ale... jak... kurwa... Agata!

– Wejdz do środka, kochanie, i usiądź na krześle – powtórzyła, tym razem z większym naciskiem.

Kiedy wciąż się wahał, dziewczyna zrobiła krok do przodu. Kamil odskoczył i nim się zorientował, był już w pokoju. Nożem wskazała mu krzesło, a on posłusznie wycofał się na nie rakiem i usiadł. Dopiero w tym momencie Agata odetchnęła głęboko. Przyłożyła rękę do czoła, a na jej twarzy po raz pierwszy odmalowało się napięcie.

– Agata... – wreszcie wydusił z siebie trzęsący się Kamil. – On jest martwy. Dlaczego on jest martwy?

– Bo go zabiłam, Kamilku – powiedziała, wciąż na niego nie patrząc. – Chciałam, żebyś to zobaczył, ale najwidoczniej coś poszło nie tak, coś źle zaplanowałam. Przepraszam, nigdy nie chciałam, żebyś pomyślał, że cię zdradzam.

Kamilowi zakręciło się w głowie. Zamrugał i przetarł oczy. Nic z tego nie rozumiał.

– O czym ty mówisz? – zaschło mu w gardle. – Za co ty przepraszasz? Że z nim spałaś? Ty go zabiłaś? Agata, o co tu chodzi?!

Spojrzała na niego wielkimi piwnymi oczami, które tak kochał. Widać w nich było łzy i ból. Jej broda zadrżała, jakby dziewczyna miała się zaraz rozpłakać.

– Spałam z nim, Kamil, ale to nie jest tak, jak myślisz. Nie chciałam cię zdradzić. Spałam z nim tylko po to, żeby go zabić.

– Dlaczego? Czy on cię skrzywdził? – To było jedyne logiczne wyjaśnienie, które mógł wymyślić.

– Nie – zaśmiała się cicho. – Nic mi nie zrobił, tydzień temu podrywał mnie w barze i dałam mu mój numer. Zabiłam go tylko po to – wzięła głęboki wdech i zawstydzona, opuściła oczy na ziemię – żeby dojść.

Kamil rozumiał z tego wszystkiego coraz mniej.

– Co? – wydusił w końcu z trudem.

– Chciałam ci to powiedzieć od dawna. To jedyne sekret, jaki mam przed tobą, kochany – mówiła szybko, niespokojnie, jakby chciała to z siebie już wyrzucić. – A od kiedy się oświadczyłeś, wiedziałam, że muszę opowiedzieć ci wszystko, zanim się pobierzemy. Inaczej byłoby nie fair. Ale nie umiałam znaleźć odpowiednich słów, więc postanowiłam ci to

pokazać. Wiedziałam, że zainstalowałeś mi na telefonie aplikację do śledzenia, że robisz się coraz bardziej podejrzliwy. Zostawiłam więc w domu torbę po bieliznie, tak żebyś mógł ją znaleźć, i przyjechałam tutaj. Miałam nadzieję, że będziesz mnie śledził, że będziesz na mnie patrzył i że zobaczysz, jak go morduję. I że wtedy wszystko zrozumiesz. Ale jak mógłbyś...

Kamil czuł ogarniającą go panikę. W głowie mieszały mu się przeróżne myśli.

– Co zrozumiem?

– Że ja tylko tak potrafię mieć orgazm! – wykrzyczała i rozszlochała się. – Tylko wtedy, kiedy obcuje ze śmiercią! Kiedy mężczyzna kona pode mną i kiedy czuję na udach jego ciepłą krew. Wtedy naprawdę dochodzę. Muszę czuć wewnątrz siebie uciekające życie. Myślałam, że tak będzie zawsze, że będę zabijać jednego faceta i szukać następnego. W ten sposób zaspokajam żądze. Ale potem spotkałam ciebie i się zakochałam. Chciałam być tylko z tobą i nigdy nie mogłabym cię skrzywdzić, ale mam też swoje potrzeby.

– Czyli ty nigdy ze mną nie doszłaś? – Kamil wypowiedział na głos swoje myśli, które zboczyły na zupełnie inny tor.

– Doszłam, Kamil, jasne, że tak, ale to nie było takie proste. Powiedziałam ci, muszę czuć śmierć wewnątrz siebie. Inaczej nic z tego. Dlatego przyszedł mi do głowy inny sposób.

– Wskazała czubkiem noża udo martwego mężczyzny, brakowało w nim dużego kawałka mięsa. – Próbowałam inaczej mieć ich w sobie. Zjadałam ich i kochałam się z tobą, ale to niewiele pomagało. Dlatego zaczęłam dawać ich tobie. Kiedy byli w tobie, a później ty we mnie, było cudownie. Jakbym była tylko z tobą, ale równocześnie znowu czułam ich śmierć i dochodziłam, jak jeszcze nigdy w życiu.

– Dawałaś ich mnie? – Kamil wytrzeszczył na nią oczy. Próbował pojąć sens tych słów. Dopiero po chwili, gdy przed oczami pojawił się mu soczysty filet mignon, który przygotowała mu tamtego dnia na obiad, zwymiotował ponownie.

– Karmiłaś mnie ludźmi?! – zapytał z przerażeniem i otarł usta. – Ludźmi?!

– Robiłam to dla nas...

Kamil trząsł się cały jak w febrze, łzy spływały mu po policzkach. Agata również płakała.

– To szaleństwo! Jakiś zły sen! – wykrzyczał.

– Kamil... – powiedziała i odłożyła wreszcie nóż. – Wiem, że to szok. Że musisz wiele przemyśleć. Czego byś nie postanowił, uszanuję twoją decyzję. Proszę, pamiętaj tylko o jednym: kocham cię.

Narzeczona Kamila była teraz bezbronna, więc nie myślał długo,. Popatrzył na nią po raz ostatni, a potem zerwał się z krzesła i ile sił w nogach uciekł z mieszkania.

Kamil siedział w barze i sączył cosmopolitan. Nachylał się w stronę ponętnej blondynki, ubranej w białą obcisłą koszulę oraz czarną ołówkową spódniczkę. Szepnął jej coś na ucho, a ona wybuchnęła śmiechem, zasłaniając przy tym usta. Mężczyzna złapał ją delikatnie za nadgarstek i pokierował jej dłoń w dół.

– Masz taki piękny uśmiech – powiedział. – Nie żałuj mi go, proszę.

Blondynka opuściła wzrok i zatrzepotała rzęsami. Uśmiechnęła się ponownie.

– O proszę, jaki piękny. – On też się uśmiechnął i przejechał kciukiem po jej policzku.

– Dziękuję ci.

Barman zadzwonił w ustawiony na ladzie dzwon i oznajmił, że to ostatnia szansa, by jeszcze coś zamówić. Towarzyszka Kamila już podnosiła rękę, by poprosić o dolewkę, ale mężczyzna powstrzymał ją.

– Może na ostatniego pójdziemy do mnie? – zapytał, a ona kiwnęła głową i się zarumieniła.

Jednak nie mieli okazji wypić niczego więcej tamtego wieczora. Zaczęli się nawzajem rozbierać już w taksówce. Rozpinali guziki, odpinali paski, ich ręce chciwie błędziły po zakamarkach odzieży w poszukiwaniu chociaż skrawka nagiego ciała. Na schodach do mieszkania Kamila co chwila robili przystanki, by przywrzeć do siebie w uścisku i złączyć się w pocałunku. Resztę ubrań stracili w przedpokoju, a do sypialni dotarli nago. Nie przejmowali się nawet zapaleniem światła. Przewrócili się od razu na łóżko, bez dalszych wstępów zatracając się w sobie.

Drzwi kuchni uchyliły się bezszelestnie. Bose stopy nie robiły najmniejszego hałasu na miękkim dywanie. Agata przemknęła przez mieszkanie cicho jak duch i stanęła za framugą uchylonych drzwi sypialni. Przez chwilę przyglądała się, jak Kamil kocha się z nieznajomą. Przygryzła wargę i sięgnęła do koronkowego obszycia krótkiej, ekskluzywnej koszulki nocnej, którą miała na sobie. Podniosła tkaninę jedną ręką, a drugą sięgnęła między uda. Zmrużyła oczy, tłumiąc westchnienie rozkoszy. To jednak nie widok Kamila kochającego się z inną kobietą podniecił ją tak bardzo. Tym, co naprawdę rozpalało do czerwoności jej chuć, była myśl o ostrym nożu spoczywającym pod poduszką. Do głowy przychodziły jej też setki pomysłów na to, co ugotuje następnego dnia na obiad.

RAZ – DWA, RAZ – DWA

Aleksandra Bednarska

To była kolejna noc, o której chciał zapomnieć. Cały ostatni miesiąc zlewał mu się w bezkształtną masę, błyszczącą neonami Gangam.

Bin pociągnął łyk napoju energetycznego. Skupił zmęczony wzrok na drodze, która była całkowicie pusta, choć mijał właśnie zjazd na lotnisko Incheon. Zastanawiał się, kiedy znajomi z pracy odkryją, że nie stać go na picie z nimi soju w tak drogich knajpach.

W szkole zawsze był drugi, tuż za klasowym prymusem. W pracy go nie doceniano, chyba że postawił wszystkim kolejkę. Codziennie klepał nadgodziny, ale wielmożny pan szef znowu dał awans lizusce Uhjin. Wszyscy wiedzieli, skąd ta jej dobra passa. Bin starał się dalej, chociaż wiedział, że nigdy nie usłyszy pochwały. „No, ale niektórzy tak mają” – pocieszał się, zaciskając ręce na kierownicy. Niekiedy nigdy nie będą pierwsi”.

Wśród przydrożnych świateł zamajaczyło osobliwe widziadło. W miarę jak chłopak się do niego zbliżał, czarno-biały kształt stawał się coraz bardziej wyraźny. Zaczynał przypominać człowieka.

To była dziewczyna, która chwiała się niczym figurka w teatrzyku cieni. Bin aż przetaił oczy ze zdziwienia, gdy ją zobaczył. „Czy to sen? Jednak nie!” – uspokoił się i rzucił kontrolne spojrzenie na deskę rozdzielczą. Jechał wolno. Z gąszczy cyfr świecących w ciemności wyłowił godzinę: trzecia czterdzieści. Godzina duchów. Zwidów raczej. Ściszył audiobooka, z którego i tak rozumiał jedynie co trzecie zdanie.

Dziewczyna stała na poboczu. Mocny podmuch wiatru zwał włosy z jej twarzy. Dziwne, że nawet nocą nosiła ciemne okulary.

Bin ją minął, tak jak każdego innego autostopowicza. W życiu był zawsze drugi, ale nie oznaczało to, że chciał na siłę szukać przygód. Kosztowne balety w barach Gangam wystarczały mu w zupełności. „Ciekawe, skąd się tu wzięła?” – ziewnął i zapiął bluzę pod szyję. Mimo włączonego ogrzewania czuł przejmujący chłód. W tym czasie palce dziewczyny odgięły się od zaciśniętych piąstek. Najpierw wskazujące, potem środkowe. Raz-dwa, raz-dwa. Szkoda, że Bin tego nie widział. Zdarza się czasami, że skazaniec przegapia to, co

przypieczętuje jego los.

To była kolejna noc, o której Bin chciał zapomnieć. Jednak okazała się ostatnią, którą mógł zapamiętać. Przy kolejnym zjeździe powieki chłopaka opadły sennie na chwilę dłużej, niż powinny. Gdy otworzył oczy, zobaczył pustkę ciemną jak noc i okulary dziewczyny z pobocza. Nicość była aksamitnie gęsta, wolna od ucisku niespełnionych oczekiwań. Nigdy nie widział czegoś tak pięknego i mrocznego zarazem. Potem nie widział już nic, bo wjechał wprost w nadjeżdżającego tira. Myślicie, że oślepiła go smolista czerń pustki czy po prostu długie światła? Perspektywa wiele zmienia, a nikt z Was nie chciałby być na jego miejscu. Tej nocy spełniło się marzenie Bina. Był pierwszy, ponieważ kierowca ciężarówki przeżył wypadek. Zaraz, czyżby kolejność miała tu znaczenie? Dziewczyna znów zacisnęła dłonie. Poprawiła okulary i krokiem podobnym do pląsu kulawej sarny poszła przed siebie. Nie przepadała za długimi światłami. Bywały bolesne dla oczu.

– Hej! Choi, co się mażesz? – usłyszała Eunyoung zza drzwi toalety. – Zmyj z nosa smarki i chodź na drugie śniadanie!

– Daj spokój! Wiesz, przez co ona przechodzi. Choi, uczesz się i uspokój. My poczekamy – odezwał się kolejny głos.

– D-dobrze, *onni*... J-jeszcze chwilę.

Eunyoung poprawiła krawat mundurka i przeczesала palcami grzywkę. Nie jąkała się od czasów przedszkola, ale znienawidzona wada wróciła po śmierci brata dziewczyny. ujęła trójkątny podbródek w dłonie i obracała głowę to w prawo, to w lewo. Miała taką ładną, małą twarzyczkę i niestety niezbyt duże oczy. Marzyła o operacji powiek, dwa proste cięcia i byłaby naprawdę piękna.

– Dosyć tego! Choi, weź się w garść i wychodź. Zaraz skończy się przerwa!

Odkręciła wodę, by zwilżonymi palcami oklepać spuchniętą twarz. Pociągnęła usta pomadką, cmoknęła. Próbowwała zachowywać się prawie tak, jakby, patrząc na jednego z kolegów, nie przypominała sobie wyrazu twarzy brata, kiedy leżał w trumnie. Prawie jakby to się wcale nie zdarzyło.

Bin dopiero po śmierci zaczął się szczerze uśmiechać. Dziwne, że nie znalazł w życiu nic, co wzbudzałoby w nim radość. Zupełnie jakby zobaczył po drugiej stronie coś naprawdę pięknego. Eunyoung pociągnęła nosem, powstrzymując łzy. Dlaczego Bin ją zostawił? I czemu wydawał się taki szczęśliwy? Ukryła twarz w dłoniach.

Woda z niedokręconego kranu kapiała w tym samym rytmie co łyzy Eunyoung. Raz-dwa, raz-dwa. Za plecami płaczącej dziewczyny przemknął cień, który mógł należeć do uczennicy w wieku podobnym niej. Trudno to było ocenić, bo tajemniczą twarz zastępowała pozbawiona rysów maska .

Nad blokowiskiem w Ahyeon zapadał zmrok. I co w tym niezwykłego? Na razie nic.

U stóp bloków pnących się ku niebu jak posępne wzgórza, tłoczyły się jeszcze mniej urokliwe budowle. Nieforemne sadyby, sklecone z gipsowych płyt, kleiły się ścianami jedna do drugiej. Stłoczone wzdłuż ciasnych uliczek, tworzyły szkaradny labirynt. Zapach przypalonego ciasta naleśnikowego wisiał w powietrzu, mimo że wózek, na którym stary Kim smażył chrupiące rybki z czerwoną fasolą, dawno stał pod zadaszeniem.

Kwan wstydził się, że mieszka w tak biednej dzielnicy. By zmylić kolegów z klasy, wsiadał do metra jadącego w kierunku śródmieścia, a po kilku przystankach przesiadał się do autobusu kursującego w stronę domu. Niepokój towarzyszył mu przez całą drogę, ulgę czuł dopiero za progiem swojego mieszkania. Rodzice harowali na kolejnej zmianie – chesne w prywatnej szkole samo się nie zapłaci. Dorabiali w firmie sprzątajacej popularnej wśród lepiej sytuowanych mieszkańców Seulu. Odkąd przeznaczyli swój majątek na leczenie siostry Kwana, nie mogli wybrzydzać. Całe szczęście, chłopiec miał spory zapas klusek instant, więc nie chodził spać głodny. Wstawił wodę na makaron, a potem wymieszał suchą zawartość torebki. „Że też stary Kim zwinął się wcześniej niż zwykle” – pomyślał, niepocieszony. Włączył na telefonie transmisję turnieju e-gamingowego. Przeszkodziło mu pukanie do drzwi. Kwan wiedział, że obcym nie otwiera się po zmroku, a rodzice mieli przecież klucze. Nie zamierzał przegapić ani chwili z finałowych rozgrywek ulubionej gry, chyba że na zalanie kolacji wrzątkiem. Powolne stukanie nie ustawało. Raz-dwa, raz-dwa. Przestał na nie zwracać uwagę, zapatrzony w karciane triki Surrendera. „Kiedy dorosnę, też będę taki jak on” – rozmarzył się.

Klik odskakującego włącznika, huczenie pary. Kwan chwycił czajnik i zalał kolację wodą. Przykrył spodeczkiem makaron, żeby przeszedł aromatem przypraw. Raz-dwa, raz-dwa. Pukanie stawało się coraz bardziej uciążliwe. Chłopiec, zdziwiony upartością gościa, wyrztał przez judasza. Dźwięk ustał. Jak to? Na zewnątrz nie było żywej duszy.

– Bądź dobrym chłopcem, Kwan. Zamknij oczy i policz do stu. – Głos wydawał się dobiegać znikąd, a kluski były już gotowe. – Policz do stu albo stanie się coś złego.

Chłopiec chwycił telefon, nadal wyświetlający transmisję gry, i zacisnął powieki. Mama z tatą mogliby już wrócić. „Raz, dwa, trzy...” – liczył w głowie, drżąc ze strachu. Dobił do czterdziestu dziewięciu.

Zanim pomyślał kolejną okrągłą liczbę, łypnął ukradkiem na przedsionek i kuchnię. Postać stała obok lodówki. Długie włosy okalały twarz bledszą od kartek zeszytu. Na nosie miała ciemne okulary w solidnej oprawie. Raz-dwa, raz-dwa. Jej palce, podobne do szponów, prostowały się i zginały. Kwan poczuł zimny dreszcz przeszywający plecy. Dziewczyna przypominała mu siostrę, która zmarła kilka lat temu. Szybko zamknął oczy. „Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden...” – ciągnął odliczanie.

– Licz dalej, Kwan. Gdy skończysz, wystygną ci kluski, a mnie już tu nie będzie. Powiedz rodzicom, że powinni przestać pracować dla Choiów. Albo niech chociaż wezmą urlop w przyszły piątek. To ważne.

„Dziewięćdziesiąt dziewięć, sto!” – chłopiec skończył liczyć. Uniósł sklezione łzami powieki, a dziewczyny już nigdzie nie było. Pozostał tylko chłód, przejmujący jak na wczesną jesień.

„Przewidziało mi się” – pomyślał. Burczenie w brzuchu przypomniało mu o kluskach parzących się pod spodem. Kwan łapczywie chwycił miskę. Toporna, tania porcelana była zimna niczym z lodówki. Ekran telefonu, na którym Surrender nadal triumfował, przecinały dwie podłużne rysy. I co w tym niezwykłego? Nadal nic.

Stołówka huczała od plotek. Czy na pewno? Ot, zwykły gwar przerwy na obiad. Ale Eunyong wydawało się, że każdy uśmieszki i ucięte zdania to kolejne przytyki. Leciały jak litania, bez pauzy na oddech. Raz-dwa, raz-dwa.

– Widzieliście Choi? Kiedyś była najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Potem jej brat zginął w wypadku i przez miesiąc nie wychodziła z domu. Wróciła zupełnie inna niż wcześniej. Popatrz na nią – masakra! Ma twarz spuchniętą od płaczu. Jąka się tak, że trudno to w ogóle zrozumieć. Odbiło jej jak nic, ale kto by tam współczuł? Pamiętasz, jak wszystkim dokuczała? Niech ma za swoje – słyszała. Spuściła głowę. Zupa parowała jej w twarz i drażniła zapłakane oczy. Mieli rację, Eunyong była tak okropna, jak tylko bywają

dziewczyny w jej wieku. Aż cud, że Hyein i Jiae nadal chciały się z nią trzymać.

– Co z tobą, Choi? – zapytała z troską Jiae. Wszystkie trzy usiadły przy stoliku.

– Nie mów tylko, że cię obchodzi, co myślą inni. Jeszcze im przypomnimy, kto tu rządzi. Pamiętasz, jak wrzuciłaś Lee gumę we włosy? Ścięła się na chłopaka i zmieniła szkołę. Niby mówili, że próbowała pociąć się w łazience, ale to były plotki. Siedziałaś tam przecież pół dnia i co? – zawiesiła głos przyjaciółka.

– Chyba jasne, że nic! – Hyein chwyciła palczkami marynowaną rzepę. – Naoglądałaś się głupot w internecie i straszysz! Zresztą, jeśli nakręciłyście się na opowieści z kryptu, to czemu nie pogadamy o tym, co zrobił twój brat?

Eunyoung podniosła wzrok, wlepiony do tej pory w stołówkową tackę. Poza tym, że Bin grał w bejsbol i dobrze się uczył, nie wiedziała wiele o jego szkolnych latach. W ogóle nie potrafiła wyobrazić go sobie w mundurku, przechadzającego się szkolnymi korytarzami. Był taki poważny i skupiony na pracy.

– N-nie wiem, o czym m-mówisz, *onni*.

– Serio? Nie słyszałaś o nim i paskudzie Sujin? Ryj miała płaski jak karp, a oczu to prawie że wcale. No, nie mów!

– *Onni*, ja...

– Wbrew temu, co mówią, to całkiem fajna historia – Jiae przerwała pałaszowanie smażonej ryby. – Chociaż ludzie przesadzają z robieniem z tego tragedii.

– Przestań, Jun! – skarciła ją Hyein. – Cały ranek płakała. Myślisz, że chce tego słuchać? Przepraszam, Choi. Nie wiem nawet, skąd mi to przyszło do głowy.

– Jesteś pewna Choi? To dobra historia, taka z morałem. – Jiae chciała się upewnić.

– J-jakim? – Zdezorientowana Eunyoung upuściła kawałek kimchi.

– No, takim, że wyżej tyłka nie podskoczysz. Nie każdy jest taki jak my.

Przerwa obiadowa wydawała się nie mieć końca. Eunyoung bała się tego, że na wspomnienie Bina znowu wybuchnie płaczem. Z drugiej strony, nie знаła tej historii, a tak bardzo chciała dowiedzieć się o nim czegoś nowego. Miły zbieg okoliczności, zupełnie jakby brat chciał sam się z nią tym podzielić zza grobu.

Poczuła, że zaczyna brakować jej powietrza. Wzięła kilka głębokich wdechów. Raz-dwa, raz-dwa. Pozorny spokój powrócił.

– I-ileż m-można płakać, *onni*? – oparła brodę na splecionych dłoniach w cichym geście słuchacza.

– Jesteś pewna, że się nie domyśli?

– No, co ty, *oppa*? Strach cię obleciał?

Zanim Bin na dobre zrozumiał, że nigdy nie będzie pierwszy, zakochał się w najładniejszej dziewczynie w szkole. Sua miała jedwabiste włosy i twarz podobną do uśmiechniętego kociątka. Całowała się już z połową jego kolegów, ale z nim miało być coś innego, coś jak z piosenki albo ckliwych filmów, które rzadko oglądał.

Kiedy obiecał jej pomóc, nie wiedział jeszcze, że nic z tego nie będzie.

– Mnie strach obleciał? – prychnął Bin, wypinając się dumnie, aż efekty treningów przebiły się spod białej koszuli. – Nie przesadzaj, po prostu szkoda mi jej i tyle. Co ona ci tak właściwie zrobiła?

– No, proszę cię! – Sua zachichotała. Wyglądała tak niewinnie, że nikt nie podejrzewałby jej o złe zamiary. Z anioła miała jednak niewiele poza twarzą. – Myśli, że jest taka fajna w tych szalikach z koca i grzywce odciętej od garnka! Może i rysuje lepiej ode mnie, ale czemu to jej dekoracje wygrały? Wszyscy wiedzą, że to ja najlepiej się na tym znam! No, i jeszcze mam gust.

– To o to chodzi? Myślałem, że coś rzeczywiście zrobiła.

– Szkoda, *oppa*! – skrzywiła usta muśnięte nieprzepisową pomadką. Bin nie mógł od nich oderwać wzroku. – Wydawało mi się, że jako jedyny naprawdę mnie rozumiesz.

– Ale ja... – zająknął się. – Nie powiedziałem, że nie rozumiem...

– Rusz się, *oppa*! Inaczej się zastanowię, czy przedstawić cię koleżankom.

Nie odpowiedział, bo z aniołami – nawet tymi, których rozkazy brzmią tak kategorycznie – się nie dyskutuje. Bin chciał pocałować ją w policzek, ale Sua zachichotała tylko i uchyliła się jak nieuchwytny duszek. Chłopak westchnął i zerknął na zegarek. Nie miał czasu nalegać, musiał biec do biblioteki.

Mógł też tupnąć nogą i stwierdzić, że ma dość, ale tego nie zrobił. Kto wie, czy to nie od tej decyzji zaczęła się jego zła passa?

Bin nie przepadał za senną atmosferą biblioteki. Obstawieni książkami kujoni, zamiast radośnie uczyć się i powtarzać, chłonęli bezkarnie filmik za filmikiem. W niebieskawym świetle laptopów ich twarze były upiornie blade. Ktoś mruczał pod nosem powolną melodię, stukając palcami w ławkę. Raz-dwa, raz-dwa. „Czego to ludzie nie wymyślą, żeby zadowolić rodziców?” – pomyślał Bin.

Czekała na niego przy regale ze słownikami, tak jak się umówili. W przeciwieństwie

do Suy nie przejmowała się wyglądem. Ręce miała brudne od kredy i tuszu, a cerę – ciemną i błyszczącą potem. Jej plecak oblepiały naszywki Greenpeace, poruszające kwestie, którymi Bin nie zaprzętał sobie głowy. Była typem szarej myszki rozkwitającej dopiero na studiach. Wiedział, że jej się podoba. Na jego widok podbródek dziewczyny drgał raz po raz w trudnym do opanowania tiku.

– Cześć, Sujin – bąknął, rozglądając się na boki. – Miło, że przyszedłaś.

– Nie ma sprawy. – Jej policzki się zarumieniły. – Nie wiedziałam, że też lubisz rysować.

– No widzisz. – Uśmiechnął się niezręcznie. – Teraz już wiesz.

– Może jak już pokażesz mi swoje rysunki, to gdzieś pójdziemy?

– Chętnie. Za plecami Sujin zobaczył swojego okrutnego anioła i urwał. Zamiast zwichniętych skrzydeł Sua miała przy sobie dwie koleżanki. Binowi nie podobał się jej uśmiech, który szkaradnie wykrzywiał soczyste różowe wargi. Ale to tylko dziewczyny, one nie potrafią się bić. Mógł poczekać, by przekonać się, że nie ma racji, lecz tego nie zrobił. Odwrócił się bez słowa i ruszył do wyjścia.

Wieczorem czekał na Suę przy wejściu do jej ulubionej kawiarni. Przyszła spóźniona i nawet na niego nie spojrzała. Wisiała na ramieniu jakiegoś dryblasa w kurtce z godłem szkoły sportowej. Binowi po raz pierwszy zdarzyło się wtedy tak dotkliwie odczuć bycie drugim.

– *O-onni*, co się stało z Sujin?

– Nie wiesz, Choi? To, co się dzieje z tymi, które zadzierają nosa.

– W-wrzuciły jej gumę we włosy? P-potargały szkicownik?

– W nocy cię podmienili czy jak, Choi? Zadarła z królową, nie z kółkiem różańcowym.

– Nie mam dobrych wiadomości. Zmiany niestety będą raczej nieodwracalne – Sujin wydawało się, że śni te słowa zupełnie jak całą resztę. Raz-dwa, raz-dwa. Antybiotyk spływał z kroplówki. Gumowe podeszwy butów pielęgniarki kleiły się do linoleum. Jak to się stało? Przecież po lekcjach miała spotkać się z tym przystojnym chłopakiem, obejrzyć jego rysunki. Poszła do biblioteki, ściskając szkicownik w dłoni mokrej od potu. Bin Choi nie

wydawał się typem artysty, ale zdarza się, że pozory mylą. Uśmiechał się tak nieśmiało, kiedy rozmawiali.

– Oczywiście można spróbować leczenia operacyjnego, ale to dość ryzykowne – usłyszała

Sujin i szarpnęła ręką. Piekący ból rozlewał się po zgięciu łokcia. Igłę wbito krzywo i niezbyt głęboko.

Wreszcie ktoś poza nauczycielami zwrócił na nią uwagę. Serce klekotało, jakby miało wyskoczyć na półkę pełną słowników. Nagle Bin skrzywił się i odszedł bez słowa. Zza pleców usłyszała złośliwy chichot. Podły żart! I to w dodatku kosztem zajęć dodatkowych. Sua, samozwańcza królowa żeńskich klas, szarpnęła ją za włosy, a dwie bezimienne dziewczyny, które zawsze jej potakiwały, śmiały się dalej.

– Osobiście poleciłbym przeszczep rogówki, choć rzadko się to udaje. –

Ocieżała od słów doktora głowa Sujin zatapiała się w poduszkę. Zimna dłoń pielęgniarki poprawiała wklucie.

Co było dalej? Dziewczyny rozrzuciły po podłodze rysunki i zaczęły je deptać. Każdy z nich znaczyły odciskiem podeszwy. Popchnięta na podłogę, Sujin uderzyła głową w kant regału. Tępy ból zadudnił w jej uszach. Nie opierała się kolejnym kopnięciom. Zacisnęła zęby i liczyła po cichu, że dziewczyny zostawią ją w spokoju. Nie zostawiły. Kopniak roztrzaskał szybkę okularów, która rozprysła się w ostre odłamki. Jeden rozciął skórę pod okiem, drugi wbił się gdzieś pomiędzy białkiem a tęczówką. Nie bolało, piekło raczej. Bardzo chciała potrzeć oko palcem, ale przeszkadzały w tym kolejne kopniaki. Więcej nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Tak to już bywa: im mniejszy ból, tym większe uszkodzenie tkanki, – kontynuował doktor.

Raz-dwa, raz-dwa. Igła wkluta w zgięcie łokcia znów przepuszczała chłodną ciecz. Sujin chciała obudzić się z tego snu. Koszmarom jednak często zdarza się przenikać wprost do prozy życia.

– Cudu nie będzie, przykro mi – powiedział lekarz i ostrożnie rozciął bandaż, a Sujin zawyla żałośniej niż ranne zwierzę. Świat, który zobaczyła, był inny niż na jej rysunkach. Stał się rozmyty, niewyraźny i pozbawiony barw.

– Wyobraź sobie, Choi, że im się wtedy upiekło. Twojemu bratu, jego niedoszłej dziewczynie i jej koleżankom. – J-jak to? Cz-czy nikt ich nie widział? N-nieemożliwe!

– Myśl trochę, Choi! Wasi rodzice zapłacili za operację kujonki i zapomniano o sprawie. Milczenie łatwo przecież kupić, gorzej ze wzrokiem. Zresztą te niby innowacyjne zabiegi poszły mocno tak sobie.

Furgonetka mknęła autostradą w kierunku Incheon. „Mrożone owoce morza wujaszka Hana” – głosił napis na pace. Kłódka na tylnych drzwiach podskakiwała. Raz-dwa, raz-dwa.

Słyszeliście o złodzieju nerek z czarnej taksówki? On też bałby się zadrzeć z tym, który siedział za kółkiem furgonetki. Tak samo zresztą jak doktor Lee.

Niby ludzie miewają gorsze dni, niby każdemu może omsknąć się ręka. Doktorowi Lee zdarzyło się to o jeden raz za dużo. Zamiast ściągnąć kataraktę pewnemu oligarsze z Kantonu, uczynił go astygmatykiem. I stało się. Dano doktorowi wybór: pójść spać z rybami lub oddać wujaszce Hanowi pewną drobną przysługę. Wybrał to drugie. Odtąd co miesiąc odwiedzała go furgonetka z zamrażarką na pace.

Zaraz, zaraz. Doktor Lee nie należał do grona zapalonych wędkarzy. Zdarzało mu się jednak coraz częściej popełniać błędy w sztuce lekarskiej. Jednym z nich była operacja Sujin. Co łączyło dziewczynę z resztą bezimiennych ciał w plastikowych workach? Coś pomiędzy złym losem a czystym przypadkiem. Zresztą, po latach nieudanych zabiegów śmierć pomyliła jej się z odpoczynkiem.

Koła samochodu podskoczyły na ledwie widocznym wyboju, a kłódka pękła na pół. „A żeby to szlag” – pomyślał kierowca i zahamował z piskiem opon. Poprawił ciemne okulary na nosie i wygładził włosy rozjaśnione na mahoń. „Wujaszek Han wścieknie się, jeśli zabraknie jednego pakunku. No, chyba że upadek mocno go uszkodził” – zaczął się zastanawiać.

Worek leżał na poboczu kilka metrów za paką. Kierowca dojrzał kobiecą dłoń wystającą spomiędzy pękniętego suwaka. Raz-dwa, raz-dwa. Jej palce zginały się podobnie do haczyków na przynętę. Najpierw wskazujący, potem środkowy. Kierowca chwycił niezgrabnie worek. Z trudem przerzucił go przez barierkę. Wypadło z niego ciało Sujin i stoczyło się ze skarpy. Odetchnął z ulgą. Był człowiekiem przesadnym i nie wierzył, by trup zmrożony na kość mógł sam z siebie drgnąć bez udziału czegoś nie z tego świata. „A kysz, zły duchu” – rzucił, spoglądając na zbocze.

Kierowca zabezpieczył drzwi łańcuchem i zapalił papierosa bez filtra. „Powie, że tym razem dał o jedną mniej” – zdecydował. Cały czas mrużył oczy. Było dla niego za jasno,

a nie przepadał za słońcem. Nagle zorientował się, że nie ma okularów. Przeklął głośno, bo nie na każdym targu nocnym sprzedawali tak dobre podróbki. Nie szukał jednak zguby. Duchom, nawet złym, wypada zostawić ofiarę.

– O tym doktorze to takie trochę naciągane, ale kto wie? Słyszałam już znacznie gorsze rzeczy.

– W życiu za błędy się płaci, Choi. I to nieprawda, że nigdy nie jest za późno na odkupienie win.

– J-jak to, *onni*?

Szkoda, że rodzimy się, by umierać. Dla Suy śmierć czy cierpienie liczyły się znacznie mniej niż pierwszy siwy włos. Dojrzała go dzień po dwudziestych ósmych urodzinach, gdy nanosiła kolejny filtr na swoje zdjęcie z kwiatami i tortem. Pół godziny poszukiwań perfekcyjnego kadru zmarnowane.

– Twoje prawe oko gapi się na nos. – Sua usłyszała nieznajomy głos.

Rozejrzała się po pokoju, ale była całkiem sama. Siedziała przy toalecie z podświetlanym lustrem. Miejsce to nadawało się idealnie na fotorelację z makijażu, który poprawi proporcje nawet najbardziej grubo ciosanych szczęk i płaskich nosów, uwypukli oczy oraz zamieni usta w pączek róży. Tym samym spełni marzenia swoich zakompleksionych obserwatorów.

Jednak Sua bardziej niż kropelki rozświetlacza potrzebowała wizyty u fryzjera. „Nie mogę się jeszcze zestarzeć” – pomyślała, nachylając się nad niebieskawą powierzchnią lustra. Spędziła chwilę na gorączkowym poszukiwaniu kolejnego siwego włosa. Nic nie znalazła. Wyrwała więc tamten, który zrujnował urodzinową relację.

– Twoje prawe oko gapi się na lewe – odezwał się ponownie głos, a Sua drgnęła. Za jej plecami mignęła niezgrabna sylwetka, która przypominała koślawą wycinankę z papieru. Sua nie miała pewności, czy tajemnicza postać wciąż znajduje się w pokoju. Prawe oko dziewczyny nagle zaczęło zezować w bok, zupełnie jakby chciało przyjrzeć się lewemu. „Czy to ten nowy klej do sztucznych rzęs?” – pomyślała i zamknęła na chwilę oczy. „Raz-dwa, raz-

dwa” – policzyła na głos, ale to nic nie pomogło.

– Twoje prawe oko gapi się na ciebie. – Sua słyszała kolejne rozkazy, a jej oko zapiekło i uciekając tym razem w głąb oczodołu. Z przerażeniem zauważyła, że widać już tylko mocno zaczerwienione białko.

– Twoje prawe oko gapi się na ciebie! – Głos wydawał się coraz bliższy i bliższy, aż zimny dreszcz ukuł Suę w kark. W panicznym odruchu chwyciła telefon i nacisnęła kilka razy ikonkę aparatu.

Zdjęcia były niewyraźne, ale wiele wyjaśniały: za plecami Suy stała długowłosa dziewczyna w ciemnych okularach. Chociaż gdyby się im uważniej przyjrzeć, wyglądały raczej na puste oczodoły. W jej ręku błyszczała spinka z pawiem wysadzonym cyrkoniami. Raz-dwa, raz-dwa. Krawędź ozdoby raniła palce zaciskające się na niej rytmicznie.

– I wiesz, jak to się skończyło, Choi? Znaleźli Suę po kilku dniach ze spinką w oku. Była tak ostra, że przebiła się aż do mózgu. – powiedziała Hyein, a następnie przyłożyła palec do brwi i pokręciła nim jak śrubokrętem. – Parę dni wcześniej twój brat zasnął za kierownicą. Czy to nie dziwny przypadek?

Eunyoung zmarszczyła czoło. Przestało jej się podobać, dokąd zmierza ta historia.– *O-onni*, n-nie strasz mnie!

– Nie wierzysz w duchy, Choi? – chichot Jiae odbijał się echem od ścian. – Myślisz, że jeszcze nigdy żadnego nie spotkałaś?

– P-przestańcie! – Eunyoung krzyknęła i poderwała się na równe nogi. Szturchnęła kolanem stół. Zupa rozlała się po blacie, a w stołówce zawrzało od śmiechu. Mimo spuszczonej głowy dziewczyna wiedziała, co dzieje się wokół niej. Nie widziała niczyjej twarzy, ale gwar nieprzychylnych głosów drażnił jej uszy.

– Patrzcie, do reszty jej odwala! Gada do siebie, zamiast jeść, podskakuje i krzyczy. Nic dziwnego, że nie ma już koleżanek. Niech tatuś zapłaci jej za leczenie, zanim zacznie chodzić po ścianach – słyszała, ale powoli podniosła wzrok. „O co im chodzi? Przecież od wypadku brata trzymałam się z Hyein i Jiae, razem jadałyśmy w stołówce, odrabiałyśmy lekcje” – pomyślała. Tylko dlaczego teraz nigdzie nie mogła dostrzec swoich koleżanek? Nawet ich jedzenie leżało nietknięte na tackach. Rozpłynęły się w powietrzu?

– Nawiedzona jak nic. Zobaczycie, że jeśli nie zamkną jej w porę, stanie się coś złego.

Problemy z głową to nie żarty. – Szemranie zjadliwych szeptów nie ustawało.

Podbródek Eunyoung zadygotał ze złości. Odepchnęła stolik z całej siły, aż różnokolorowe porcyjki przystawek wpadły w kałużę zupy. Dziewczyna, przy wtórze tubalnego śmiechu, wybiegła na szkolny korytarz. Minęła rząd szafek, dyspenser wrzątku i automaty. Zatrzymała się dopiero przy damskiej toalecie.

Z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Raz-dwa, raz-dwa. Wydychała powietrze w rytm wody skapującej z kranu. Jiae i Hyein stały tuż przy kabinach i świdrowały ją wzrokiem. Nieruchome jak rzeźby, wydawały się obce, zupełnie nie z tego świata.

– Wiesz, co się stało z koleżankami Suy? – zapytała Jiae. – Tymi, których imiona nikomu nie zapadły w pamięć?

– Zanim odpowiesz, przyjrzyj się nam dobrze. Mundurki każdemu odejmują lat – dodała Hyein i wyciągnęła z kieszeni różową karteczkę. Jiae wachlowała się niebieskim zeszytem.

– Który kolor wolisz? – zachichotała Jiae. – Nam Sujin nie dała takiego wyboru. To całkiem śmieszne, Choi, bo ten, kto wykrwawia się na śmierć, umiera tak naprawdę z braku powietrza.

– Jak będzie, Choi? Niebieski jak małe duszonko czy różyk jak nóż na gardle? – dopytywała Hyein.

Eunyoung, zamiast odpowiedzieć, przyjrzała się apaszkom na szyjach koleżanek. Nie zwróciła wcześniej uwagi, że kryją one szramy, szersze niż upiorny uśmiech.

– A c-co jeśli nie podoba m-mi się żaden z nich?

– Jak chcesz, Choi. Chciałyśmy, tylko pomóc. – Dziewczyny zaśmiały się jednocześnie.

Przerażona

Eunyoung przygryzła wargi, drżące z emocji. Śmierć nie była rozwiązaniem, które brała pod uwagę. Nóż i sznur w rękach koleżanek kuśły, lecz ona nie należała do odważnych. Tak naprawdę, bardziej niż końca bała się widoku krwi i cierpienia.

– Pożałujesz, Choi, zobaczysz jeszcze jak bardzo.

Mimo zmroku za oknem tłum w bibliotece wcale się nie przerzedzał. Nigdy nie jest za wcześnie, by zacząć powtórki do egzaminów. Stukanie w klawisze komputerów wtórowało

sennemu powtarzaniu regulek. Blask ekranów, na których uczniowie wyświetlali filmiki o śmiesznych kotach, odbijał się w szybkach ich okularów, czasem nawet w zaczerwienionych oczach. Eunyoung, ukryta za krzywą wieżą zbudowaną z notatek, przeglądała album ze zdjęciami na telefonie. Może tak naprawdę nie знаła Bina? Zresztą, czy znała samą siebie po wszystkim, co dziś się stało?

Pomiędzy regałami czała się dziewczyna w ciemnych okularach. Powiedzmy sobie szczerze: w świetle bibliotecznej jarzeniówki widać było, że okulary wcale nie są jej potrzebne. Nie miała przecież oczu. Długie palce zginały się i prostowały rytmicznie. Raz-dwa, raz-dwa. Najpierw wskazujący, potem środkowy i wciąż od nowa.

Eunyoung zauważyła dziewczynę szybciej niż reszta uczniów, ale nie w porę, by cokolwiek zrobić. A może nikt poza nią nie mógł dostrzec ducha Sujin? Nie ma się czemu dziwić, w końcu puste oczodoły hipnotyzowały bardziej niż czyjekolwiek spojrzenie.

Na drugi dzień zdarzenie to było na ustach wszystkich, mówiono o nim w wiadomościach i pisano w gazetach: o szalonej córce wziętego biznesmena, która urządziła masakrę w szkolnej bibliotece. Niektórym Eunyoung Choi wybiła oczy, innym podcięła gardła. Gdy policja wyprowadzała ją z budynku, dziewczyna zginała i prostowała palce. „Raz-dwa, raz-dwa” – powtarzała bez końca.

Ciekawe co to znaczyło? Ponoć mózgu nie wyprał jej żaden podejrzany guru ani grono szemranych znajomych .

Niektórzy mówili, że od dziecka miała problemy. Inni, że źle zaczęło się z nią dziać dopiero po śmierci brata. A może to jej rodzice płacili za zamykanie wszystkiego pod dywan? Szkoda, że śledztwo szybko stanęło w miejscu. Jeszcze wieczorem, w dniu masakry, w domu Choiów wybuchł gaz i rozsadził mieszkanie.

Prawdę o wydarzeniach znała tylko Eunyoung. Niestety, nikt nie ufa ludziom zamkniętym w domach bez klamek. Tymczasem prawda była taka, że Sujin próbowała wszystkiego, by odejść spokojnie w nicość. Coś niestety nie poszło po jej myśli, wciąż błąka się po świecie. Błąka i czeka na zemstę.

W mgliste noce tuż za zjazdem na lotnisko Incheon kierowcy czasem widują

dziewczynę w ciemnych okularach. Starają się jednak patrzeć jedynie na drogę. Rzut oka na palce zginające się przy wtórze nieustającego odliczania już nie raz okazał się zgubny.



ROŚNIJ, MAMO!

Paulina "Pkropka" Garwacka

Usłyszał głośny huk. Wszedł do pokoju, przetarł piąstkami zaspane oczy. Zastał mamę leżącą na podłodze. Wokół rozlewała się plama soku wiśniowego. Ominął przewrócony stółek, kucnął i zamoczył palec w ciepłej cieczy. Spróbował trochę, lecz skrzywił się z niesmakiem. Sok musiał być zepsuty, miał kwaśny posmak. Podobnie smakowały klucze, które rodzice zawsze mu zabierali, gdy wkładał je do buzi.– Mamo! – zawołał. Brak reakcji trochę go zdenerwował. Powoli robił się głodny. Miał ochotę na naleśniki z syropem i bananem.

– Mamusiu! – Potrząsnął nią lekko. Sok popłynął intensywniej. Szymek poczuł, jak moczy mu stopy. Zaniepokoiło go, że mama wciąż nie odpowiadała. Usiadł po turecku na czystym kawałku podłogi, zaczął nucić piosenkę z ulubionej dobranocki i gładzić kobietę po

włosach. Uznał, że może po prostu wystraszyła się i musi odpocząć. Czasem kózka babci też się nie ruszała, kiedy coś bardzo ją wystraszyło. Wtedy po prostu czekali, aż odzyska przytomność.

Minęła dłuższa chwila. Zdecydowanie zbyt długa, nawet przy uwzględnieniu faktu, że mama i koza to nie do końca to samo. Szymek wstał, poszedł do drzwi wejściowych. Wspiął się na palce, drżącą dłonią nacisnął klamkę i boso wyszedł na korytarz. Łamał jeden z zakazów. Czuł jednak, że jest usprawiedliwiony.

Zapukał w sąsiednie drzwi, nerwowo wyłamywał palce. W końcu drzwi się otworzyły, a w progu stanęła pani Jadzia, która czasem się nim opiekowała. Pozwalała mu do późna oglądać bajki i zawsze miała w zanadrzu cytrynowe landrynki. Nachyliła się nad chłopcem, żeby zmierzyć jego rude włosy.

– Co tu robisz, urwisie? – zapytała. Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy tylko spojrzała na brudne stopy chłopca. Przytuliła go bez słowa. Trwali chwilę w bezruchu. W końcu Szymek wziął kobietę za rękę i zaprowadził do mamy. Choć domyślała się co ujrzy, nie była na to gotowa. Opadła na kolana i zaczęła szlochać. Dopiero po chwili zebrała się w garść i podeszła do telefonu. Mówiła cicho, lecz Szymon usłyszał jedno zdanie: „Chyba nie żyje”. Świat zatrzymał się na sekundę, po czym ruszył z zawrotną prędkością. Pod blok przyjechało mnóstwo samochodów. Całe podwórko zalały kolorowe światła. Głównie niebieskie. Ktoś przykrył mamę czarnym workiem, a chłopca otulił kocem. Pani Jadzia zniknęła w korytarzu. Przez uchylone drzwi Szymek słyszał płacz i strzępki rozmów.

Został na chwilę sam w domu. Przypomniawszy sobie, że mama uratowała kiedyś umierającą roślinę. Pokazała mu, jak uciąć gałązkę, i potem razem włożyli ją do wody. Po kilku tygodniach wyrosły z niej pierwsze korzenie. Wtedy posadzili ją w kolorowej doniczce, w której wciąż rosła na parapecie w salonie. Chłopiec czuł, że musi szybko działać. Przesunął przewrócony stół i postawił przy lodówce. Wdrapał się na niego. Wysunął górną szufladę i wyjął ciężki tasak. Tata używał go do przygotowywania niedzielnych steków. Szymek opanował oddech, wrócił do mamy i uchylił czarną folię.

„Odnóżka nie musi być duża” – w jego pamięci wybrzmiały słowa mamy. Wybrał mały palec lewej ręki. Uderzył, lecz nic się nie stało. Ujął trzonek tasaka w obie dłonie i uderzał, aż usłyszał charakterystyczny chrzęst. Schował odnóżkę do kieszeni, a narzędzie ukrył za kanapą. Narzucił na mamę worek i wrócił pod koc.

Czekał. Gdy wszyscy nieznajomi odjechali, pani Jadzia włączyła bajki, żeby zagłuszyć martwą ciszę. Kolorowe obrazy i rozlegający się co chwila śmiech irytowały kobietę i chłopca, szybko więc wyłączyli telewizor. Resztę dnia spędzili wpatrując się w drzwi.

Przebudzili się na dźwięk otwieranego zamka. Do mieszkania wszedł tata Szymka. Jego zmierzwiłone włosy sterczały w każdym kierunku, a zmęczone oczy uwydatniały się przez opuchnięte, sine worki znajdujące się pod nimi.

– Och, Karolu! – Pani Jadzia ujęła dłoń mężczyzny i mocno ją uścisnęła. – Tak mi przykro – wyszeptała. Mężczyzna skinął głową. Kobieta puściła jego rękę. Odczekała chwilę, po czym bez słowa opuściła mieszkanie. Trzask drzwi ustąpił przygniatającej ciszy. Tata powoli podszedł do syna. Uklęknął tak, żeby ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Karol próbował znaleźć jakiegokolwiek słowa, lecz wszystkie go opuściły. Wydawało mu się, że minęła wieczność. Szymek zauważył bezradność ojca i pogłaskał go po policzku.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił chłopiec, po czym mocno przytulił się do wymiętej koszuli. Postanowił nie mówić tacie o uratowanej odnóżce. Chciał zrobić mu niespodziankę i wyjaśnić wszystko dopiero, gdy mama urośnie duża i silna. Nie wiedział wszak, ile czasu upłynie, zanim tak się stanie.

Karol ułożył Szymka do snu, a następnie poszedł wziąć prysznic. Kiedy chłopiec usłyszał szum wody, cichutko wymknął się spod pierzyny. Zakradł się po cichu do kuchni i bez zapalania światła odnalazł kryształowy kieliszek. Nalał do niego trochę wody, a potem wrócił do swojego pokoju. Odnóżka leżała bezpiecznie na dnie kieszeni. Wyjął ją i delikatnie włożył do kieliszka. Sadzonkę postawił na parapecie, tuż za zasłoną. Tak, żeby nikt jej nie zauważył, póki nie wypuści pierwszych korzeni. Wrócił do łóżka i obserwował, jak błądy palec odbija światło księżyca. Cichutko nucił kołysankę. Marzył, że już niedługo zanuci mu ją mama.

Na drugi dzień chłopiec nie poszedł do przedszkola, choć był poniedziałek. Tata również został w domu. Cały dzień spędził na kanapie z twarzą ukrytą w dłoniach. Szymek cichutko bawił się w swoim pokoju. Trochę rysował, chwilę zajmował się kolorówką, przeprowadził też szybką wojnę między plastikowymi żołnierzami a pluszowymi misiami. Mimo to nie mógł oderwać myśli od tego, jak smutny był tata.

Niebo zaczęło szarzeć, kiedy Szymon wyszedł ze swojego pokoju. Przekradł się do kuchni, żeby zrobić kanapki. Suche kromki chleba posmarował grubą warstwą masła, a następnie ułożył na nich szynkę i ser. Miał ochotę przybrać je ogórkiem lub pomidorem, ale nie poradził sobie z ukrojeniem równych plasterków. Zjadł tylko dwie kanapki, pozostałe zaniósł do salonu. Położył je na stoliku kawowym i usiadł obok taty. Przyglądał się chwilę

jego zgarbionym plecóm, obserwował zagniecenia widoczne na koszuli. Przytulił się do ręki ojca i wciągnął do nozdrzy ciepły, korzenny zapach.

– Zrobiłem ci kanapki – powiedział w rękaw koszuli.

– Pewnie jesteś głodny.

– Dziękuję, może zjem później. Teraz nie mam ochoty

.– Ja już zjadłem, więc reszta jest twoja.

– To dobrze.

Chłopiec jeszcze chwilę trwał, wtulony w rękaw, po czym bez słowa wrócił do swojego pokoju. Wsunął się pod zasłonę i obserwował palec mamy. Sadzonka stała się zielonkawa, a część zanurzoną w wodzie pokryła lekka warstwa osadu. „To pewnie początek ukorzeniania” – pomyślał. Próbował sobie przypomnieć, czy to samo działo się z sadzonką uratowaną przez mamę, lecz niestety pamięć go zawiodła.

Następnego dnia Szymek został pod opieką pani Jadzi. Poszli na spacer do parku, gdzie obserwowali rozwijające się tulipany i słuchali gdakania kaczek, dochodzącego z pobliskiego stawu. Słońce przyjemnie ogrzewało ich twarze, podczas gdy w cieniu odczuwało się mróz. W budce nieopodal parku zamówili na obiad po udku kurczaka z frytkami. Siedzieli na plastikowych krzesłach, jedli plastikowymi widelcami i obserwowali mijających ich ludzi. Byli to głównie mężczyźni w garniturach i panie na wysokich obcasach. Co jakiś czas mijały ich także osoby prowadzące dziecięce wózki. Szymkowi odpowiadało panujące milczenie. Smucił go tylko wyraz oczu opiekunki. Wrócili do domu dopiero, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi. W mieszkaniu nie zastali Karola, znaleźli jedynie zostawioną na stole kartkę i leżącą obok miniaturę garnituru. Pani Jadzia wyjaśniła Szymkowi, że nazajutrz odbywa się pogrzeb, na którym musi wyglądać elegancko i zachowywać się spokojnie. Obiecała, że pomoże mu się ubrać i usiądzie w ławce blisko niego. Gdy chłopiec w końcu został sam, zaczął rozmawiać z odnózką. Życzył jej słodkich snów. Prosił też, żeby szybko urosła duża i silna.

Poranek minął na nerwowych przygotowaniach. Zjedli szybkie śniadanie i wsiedli w samochód. W drodze na pogrzeb zatrzymali się, by kupić znicze.

Kościół był pełen ludzi. Większość z nich chłopiec widział po raz pierwszy. Mnóstwo świeżych kwiatów wydzielalo słodki zapach, który mieszał się z wonią starego kurzu. Karol miał zaczerwienione oczy, a usta cały czas zaciskał w cieką linię. Pustym wzrokiem patrzył przed siebie, prawie nie mrugał. Pani Jadzia siedziała w pierwszej ławce, obok Szymka. Na początku trzymała dłoń na jego ramieniu, jednak w połowie mszy wyjęła chusteczkę i co chwila ocierała oczy.

Później było dużo uścisków, wiele nieznaczących słów i zapewnień. Szymon obserwował, jak tata bez ustanku kiwa głową, próbuje sztucznie się uśmiechać. Chłopiec czuł, że wiruje mu w głowie od liczby twarzy, których nie zna i które są zdecydowanie zbyt przyjacielskie. Chciał czym prędzej wrócić do mamy. Przypomniat sobie jak mówiła, że kwiaty rosną lepiej, kiedy się z nimi rozmawia, więc zamierzał poświęcić swojej sadzonce jak najwięcej czasu.

Następny tydzień chłopiec spędził siedząc przy oknie. Opowiadał odnóżce o szpakach, które uwiły gniazdo w pobliskim drzewie i wraz z ptasimi przyjaciółmi ukrywały się wśród gałęzi, aby urządzać koncerty. Otwierał wtedy okno. Wsłuchiwał się w klekotanie i pogwizdywanie lśniących w słońcu ptaków. Próbował opisać, jak pięknie połyskują na różne kolory: zielony, fioletowy, niebieski i żółty. Był pewien, że mama cieszyłaby się z ich obecności.

Czasem, kiedy ptaki milkły, Szymek nucił piosenki z bajek. Uważnie obserwował palec mamy, który z zielonkawego zabarwienia zaczął przechodzić w fioletowe. Nie wiedział, co to oznacza. Miał nadzieję, że tak powinien przebiegać proces rozwoju odnóżki. Gdy jednak fiolet przeszedł w czerń, a niepokojąca, słodka woń zaczęła przybierać na sile, Szymek się zaniepokoił.

Na szczęście tata niczego nie wyczuł. Rzadko bywał w domu, ponieważ pracował do późna, a pani Jadzia nie wchodziła do dziecięcego pokoju. Jedynie odprowadzała tam Szymka i z progu życzyła mu dobranoc. Następnie zamykała drzwi.

Po niecałych dwóch tygodniach chłopiec zauważył na odnóżce kilka wypustek, unoszących się tuż nad powierzchnią wody. Ucieszył się z załączków korzeni, lecz następnego

dnia na dnie kieliszka zobaczył paznokiec. „Wszystko w porządku, mamó?” – zapytał, zmartwiony. Lekko dotknął palca, który był wyjątkowo miękki i pokryty śluzem. Zaniepokojony pobiegł do taty, który akurat szykował się do pracy. Kiedy zapłakany chłopiec wyjaśniał co się stało, oczy Karola stawały się coraz większe. Kręcił głową, odpychając kłębiące się myśli. Nawet nie zwrócił uwagi na głuchy stuk, który wydała szczoteczka do zębów upadająca na kafelki. Cały drżał, gdy na miękkich nogach szedł za synem.

Karol nie był w stanie spojrzeć na palec swojej żony. Wziął Szymka na ręce, mocno przytulił i zaniósł do salonu. Długo razem płakali.

– Wybacz, coś musiałem zrobić nie tak – powiedział Szymek.

– To nie twoja wina. Człowiek rozmnaża się inaczej niż roślina – odpowiedział tata.

– Myślałem, że ją uratuję.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Było za późno, nikt nie mógł już pomóc.

– To niesprawiedliwe.

– Wiem, kochanie. Czasem jednak życie odbiera nam kontrolę i najlepsze, co możemy zrobić, to zacisnąć zęby i iść dalej. Nigdy nie jest to proste, ale mama chciałaby, żebyśmy byli szczęśliwi. I jeszcze będziemy. Obiecuję. Musimy tylko dać sobie czas.



SZKARŁAT

Marek Trusiewicz

Szedł parkiem Snu. Obserwowały go bezlistne drzewa, ławki pokryte napisami i bezdomni rozpalający ogniska. W tym roku jesień wyjątkowo szybko przyniosła ze sobą niskie temperatury. Dlatego też władze miasta wyznaczyły w Perun miejsca, gdzie po zmroku wolno było rozniecać ogień. I tak, ze względu na pustki w budżecie, nie planowano renowacji, więc kilka dodatkowych plam wypalonej ziemi niewiele zmieni. Poza śladami palenisk, sięgającymi kilku metrów, istniały też koksowniki – machnięte czarną farbą konstrukcje w kształcie misy lata wcześniej rozlokowano w miejscach schadzek studentów i amatorów alkoholizacji pod chmurką.

Podczas stabilnych dni, gdy godziny nie wyróżniały się niczym szczególnym, a wnętrze trwało uśpione, Piotrek na pewno dostrzegałby magię otoczenia: swego rodzaju aurę tworzoną przez zdewastowany park, szare niebo, umęczone ludzkie twarze i cienie

wpełzające na powojenne mury. Niestety, pięć miesięcy wcześniej rozsądek Grzelewskiego wyskoczył przez okno, zabierając za sobą ostatnie okruchy nadziei. Nie istniało już skomplikowane myślenie – nie było mowy o żadnej konstrukcji myślowej, chyba że dotyczyła ona wspomniania ukochanych kobiet. Na nic medytacja, bełkot stoików czy rady Sama Harrisa, gdy wewnątrz pożera posiadająca świadomość substancja... Substancja końca świata.

– Tak bardzo za wami tęsknię... – wyszeptał, wycierając rękawem łzy. – Jesteście aniołami, na które ta ułomna rzeczywistość po prostu nie zasługuje.

Postawił kołnierz płaszcza i przyspieszył kroku. Zamiast zejść schodami, użył zjazdu dla wózków, jakby cofnął się w czasie i znów był pięcioletnim dzieciakiem. Począwszy od pierwszej klasy podstawówki, aż do dzisiejszego dnia cierpiał na lęki i nerwicę – każdy, nawet najmniejszy obowiązek kosztował go o wiele więcej wysiłku niż resztę rówieśników. Tym bardziej się dziwił, że teraz, w tak skrajnej sytuacji, nie czuł przerażenia: nie było szalejącego w piersi serca, drżących dłoni czy oddalonej rzeczywistości – otoczenia spłyconego przez szklany klosz. Istniał tylko ból wypełniający każdy centymetr wewnętrznego świata. Intensywnością wykraczał on poza skalę. Piotrek próbował objąć go rozumem, znaleźć punkt zaczepienia i zapanować nad mentalną anihilacją. Niestety, wrzód krwawiący non stop nie zamierzał odpuścić.

Mężczyzna mijał właśnie aleję, po której obu stronach rosły wiązy, gdy nagle znudzone wewnątrz wystrzeliło kolejny pocisk. Przed oczami stanął mu obraz Dagmary. Najśłodsza nastolatka pod słońcem, o obsypanych piegami policzkach i sterczących na wszystkie strony, kręconych włosach kasztanowego koloru, takich jak miała jej babka. Wspólne wakacje w Bieszczadach, wspólna miłość do malarstwa i bezwarunkowe zrozumienie... Relacja między ojcem a córką często ulega komplikacji bądź nawet pogorszeniu, gdy pociecha wchodzi w wiek nastoletni i zaczyna uganiać się za chłopcami. Jednak nie w tym przypadku. Zbyt wiele wspólnych tematów zespoiło Piotrka i Dagmarę zbyt mocno, by różnica pokoleń i poglądów była ją w stanie nadwątlić. Grzelewski dostrzegał czasem zazdrość na twarzy Igi, gdy stał razem z córką przy sztalugach, tworząc kolejny malunek, lub – jak zwykła nazywać ich prace małżonka – „kolejne oblicze wykolejonej wyobraźni”.

– Kochane dziewczynki... – rzekł i przystanął. Siedząca na ławce podstarzała kobieta przyglądała mu się bacznie przekrwionymi oczami. W dłoni obleczonej poszarpaną rękawiczką ścisnęła flaszkę wódki.

– Co tam mruczysz?

Nie zamierzał odpowiadać, lecz usta same się otworzyły, a język ruszył z miejsca:

– Do siebie mówiłem.– Żle pan wyglądasz.

„I kto to mówi” – pomyślał. Następnie rzekł:

– Dziwne, bo czuję się wyśmienicie.

Staruszka szarpnięciem wyjęła z kieszeni kurtki niedopałek papierosa, po czym włożyła go do ust i odpaliła. Dym popłynął w stronę jesiennego nieba.

– Jestem tylko zapijaczną kretynką. Oczywiście, że tak. Ale żyję na ulicy od lat i zauważam rzeczy, o których zwykli ludzie nie mają pojęcia.

– Powinno mnie to obchodzić?

Nieznajoma podrapała palcem włochaty pieprzyk na twarzy i się uśmiechnęła. Został jej tylko jeden spękany ząb, wyglądała niczym najstarsze niemowlę na świecie.

– Możesz ściemniać milicji na komendzie, ale nie mnie. Śmierdzi od ciebie trupem, młodzieńcze. Widziałam ludzi w podobnym stanie.

– Wybacz pani, muszę już iść.

Miłośniczka wysokoprocentowego etanolu wypuściła dym przez nos. Podczas tej czynności zadzierała głowę, spoglądając na chmury przepływające po niebie.

– Niewiele różnisz się od zjawy – stwierdziła. Mówiła powoli i spokojnie. – Dziwne, że jeszcze rzucasz cień... Gdybym była młodsza, może należałabym na dłuższą rozmowę. Kiedyś miałam ideały, kiedyś wiedziałam, co znaczy altruizm. Teraz jednak...

Zamiast dokończyć, machnęła ręką i przyłożyła butelkę do ust.

– Gest wart więcej niż tysiąc słów. – Piotrek uśmiechnął się blado, skinął kobiecie głową i ruszył dalej.

Słońce obłożyło promieniami pomnik siostry magdalenki, przeoryszy pierwszego zakonu nad jeziorem Głębia. Dzięki jego założeniu powstały najpierw gród, a później miasto Perun.

Piotrek rzucił przelotne spojrzenie poszczerbionej rzeźbie i poczuł gęsią skórę na plecach: dobrotliwy uśmiezek posągu kontrastował z pozbawionymi żrenic, zimnymi oczami. „Wygląda niczym zagniewany bożek – pomyślał – który sam nie może się zdecydować, co chce zafundować swym wyznawcom: kolejną plagę? Najazd obcych wojsk? A może, tak dla odmiany, rok obfitujący w zbiory i zwierzynę? Może najpierw podaruje im tyle nadziei, by zechcieli się rozmnażać, a później sprowadzi suszę i nowy typ wirusa atakującego wyłącznie dzieci? Cholerni ludzie żyją tak krótko, a przecież jest tyle możliwości, by im dosrać!”. Ostatnie zdanie zaskoczyło Piotrka. Nie spodziewał się, że w takim stanie jest zdolny do sarkazmu. Nie wiedział też, czy powinien potraktować to jako

coś pozytywnego. Zapadał już zmrok, gdy Piotrek dotarł do wielkich, pordzewiałych drzwi. Prowadziły do podziemi Miasta Mgły, gdzie cztery lata temu zginął morderca małych dziewczynek – zwali go Sekatorem z Perun. Plotki, powtarzane od setek lat, głosiły, że te podziemne, betonowe korytarze łączyły się z ruinami pogańskiej świątyni zagrzebanej w mule na dnie jeziora. Przez stulecia Perun przechodziło z rąk do rąk i rozrastało się nie tylko na powierzchni, ale też pod nią. Nie istnieją dokładne mapy labiryntu, a nikt nie jest na tyle szalony, by zgłębiać tak niestabilną i częściowo zalaną konstrukcję.

– Wszystkie te lata... – zaczął Grzelewski, przejeżdżając opuszkami po pordzewiałym kawałku blachy. – ...lata zalewającego oczy potu, upokorzeń i wyrzeczeń. Walki o szczęście swoje i bliskich, o stabilizację i przyszłość, pieprzoną, utkaną z mrzonek przyszłość. Tylko po to, by na koniec zniknąć pod ziemią i zostać pożartym przez szczury. Pierdolona groteska...

Nim zrobił pierwszy krok, jeszcze raz spojrzął na promienie słońca, które przebijały się tylko gdzieś tam. Wtedy właśnie dotarło do niego, że nadszedł koniec. Wewnętrzny głosik wyszeptał:

Pochłonie cię mrok. Nigdy już nie zobaczysz światła dnia.

Niespełna pół roku wcześniej Iga wyszła z restauracji, gdzie pracowała jako kucharka, i ruszyła w stronę domu. Mimo że profesjonalnie zajmowała się gastronomią od jedenastu lat i zdążyła przyzwycząić się do rygorów tego zajęcia, wciąż cierpiała z powodu bólu nóg, który utrzymywał się nawet w nocy i utrudniał zasypianie. Tym bardziej czuła radość na myśl o tygodniu wolnego, spowodowanego renowacją głównej sali. Przechodząc między wysepkami utkanymi ze światła latarni, wyobrażała sobie wieczory z Dagmarą, podczas których oglądają najnowszy sezon „Barry’ego” z Billem Haderem w roli głównej czy wybierają się do centrum handlowego, by buszować po sklepach z ciuchami. Kobieta nie chciała przyznać tego nawet przed samą sobą, lecz w głębi serca czuła zazdrość, że Piotrek z córką mają tak dobry kontakt. Podczas gorszych dni potrafiła nawet poczuć złość na męża, której później się wstydziła.

Pewnie z powodu przeglądania katalogów wyobraźni nie zauważyła, że ktoś za nią idzie. Zresztą... Nawet gdyby obejrzała się przez ramię i oparła wzrok na nieznajomym, najprawdopodobniej nie poczułaby strachu. Wycięta przez blask lamp sylwetka staruszka szła różnym krokiem, lecz nawet lękliwy Piotrek miałby spore trudności, by uznać ją za zagrożenie. Zaciśnięta na lasce dłoń drżała niczym liść podczas porywistego wiatru i nie

zdołałaby zgnieść nawet muchy, nie wspominając o obezwładnieniu trzydziestopięcioletniej kobiety w sile wieku. Jedynie oczy mężczyzny mogłyby zaalarmować Grzelewską: kształtem podobne do przewróconych łez, dwa punkty pulsujące szkarłatem.

Dotarłszy do skrzyżowania, skręciła lewo. Znajdowała się niedaleko jeziora Głębia: po lewej stronie miała promenadę i smagniętą promieniami księżyca taflę wody, a po prawej – labirynt poniemieckich kamienic o fasadach przypominających ospowatą facjatę. Do mieszkania zostały jej niemal dwa kilometry. Droga od czasu do czasu przejeżdżał samochód, wiatr niósł strzępy rozmów i trzask płomieni ogniska z pobliskiego lasku. Ot, kolejna noc przesycona melancholią i pragnieniem, by znaleźć się gdzie indziej, by bez planu spakować manatki, zgarnąć z banku oszczędności i wraz z rodziną wyjechać do miejsca, w którym nie byłoby ani jednej znajomej twarzy, a system nie wykręcałby człowieka jak szmaty.

– Marzenie – wyszeptała.

Sięgała akurat po komórkę, by napisać do Piotrka, gdy poczuła dłoń na ramieniu.

Wstrzymała powietrze i się odwróciła

.– Dobry wieczór. – Mężczyzna przechylił głowę. W szczelinie między wargami widać było sine dziąsła. – Mam nadzieję, że pani nie wystraszyłem.

– Dobry wieczór. Coś się stało? – Przy ostatniej sylabie głos jej się załamał, ponieważ zobaczyła błysk w oczach mężczyzny. Trwał zaledwie chwilę, lecz wiedziała, że istniał naprawdę. Zepchnęła ten fakt na krańce świadomości i na czas rozmowy przybrała maskę poważnego dorosłego.

– Mogłaby pani zadzwonić do mojej rodziny? Teraz, kiedy temperatura spadała, postanowiłem wyjść na spacer. Niestety, stare nogi odmawiają posłuszeństwa i – tu rozłożył dłonie – nie dam rady dojść do domu. Zapisałem na kartce numer do wnuczka, więc jeżeli to nie problem...

Nim zdążył dokończyć, Iga uśmiechnęła się, wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę najbliższej ławki. Podczas tej czynności mówiła:

– Nogi potrafią dać się we znaki. Coś o tym wiem.

– Dziękuję za pomoc.

– Ale to żaden problem. Każdemu może się zdarzyć słabszy dzień.

Tuż obok siedziska znajdowały się kosz na śmieci i kolejna latarnia. Tym razem cyklopie oko nie rzucało pomarańczowego światła, lecz oblewało otoczenie mleczną poświatą. Na jednej z desek oparcia ktoś starannie wyrył napis: „Gdyby wszystkie góry były książkami, wszystkie jeziora – atramentem, wszystkie drzewa – piórami, to nie wystarczyłoby jeszcze do opisania bólu świata”. Iga wiedziała, do kogo należał ten cytat, lecz teraz za cholerę nie

mogła sobie tego przypomnieć.

– Mieszkam w Perun od bardzo dawna – podjął nieznajomy zachrypniętym głosem wieloletniego miłośnika tytoniu. – Można powiedzieć, że jestem starszy od kamienic, na które patrzymy – dodał, siadając. Dłonie splótł na lasce. Broda lekko mu drżała.

– Miasto Mgły ma w sobie coś... Sama nie wiem, mimo ponurej atmosfery, mgieł i wszystkich tych pieprzonych dziwaków potrafi urzec. Przynajmniej od czasu do czasu.

– Może właśnie dlatego?

– Ch... Chyba nie rozumiem, co ma pan na myśli. Proszę podać numer, na który mam...

Przesunął wzrok na nią. Zrobił to nadzwyczaj powoli.. Kolejny raz oczy wypełnił krwawy blask. „Czyżby w żyłach dziadka płynęła fosforyzująca krew?” – pomyślała Iga, przywołując na twarz kolejny uśmiech. Niestety, ten grymas nacechowany był zdenerwowaniem. Wnętrze dłoni Grzelewskiej pokrył pot.

– Chciałem powiedzieć, że może właśnie dlatego padło na Dagmarę?

Imię córki w ustach starego zabrzmiało prawie jak obelga. Iga schowała telefon do kieszeni, wzięła głęboki oddech i twardo spojrzała na nieznajomego. Z łatwością przeszła z otwartości do ataku.

– Skąd znasz imię mojej córki?

– Z nerwów aż ci żyła wyskoczyła na czoło! Musisz być silna jak bohaterka hollywoodzkich gniotów, uderz mnie, napluj mi w twarz! Zrób cokolwiek!

– Pieprzony świr.

Odwróciła się i ruszyła w stronę chodnika.

– Mam nadzieję, że będę miał okazję powąchać jej piękne, kręcone włosy! Może nawet ściągnąć różowe majteczki, które sobie ostatnio kupiła!

Tego było za wiele. Dla Igi nie miało znaczenia, że słowa padły z ust staruszka – nawet gdyby facet umierał na raka prostaty, i tak nie darowałaby mu tych słów. Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę ławki. Dłonie zacisnęła w pięści z taką siłą, że paznokcie palca wskazującego zranił skórę.

– Skurwiel! – syknęła. Następnie zaatakowała.

Była tak bardzo rozgniewana, tak bardzo zaślepiona chęcią zmiażdżenia twarzy mężczyzny, iż z tego, że została dźgnięta, z dała sobie sprawę dopiero, gdy poczuła krew wsiąkającą w materiał dzinsów.

– Rodzice takich dzieci jak Dagmara zwykle nie kończą najlepiej.

Odsunęła się od niego. Jęknęła z bólu.

– Coś ty mi zrobił?!

– Rzeczywistości w Perun przeplatają się z zadziwiającą łatwością – stwierdził starzec. Wstał. W jednej dłoni trzymał pokryty krwią sztylet. – Że też wzniesli miasto akurat w tym miejscu, tak blisko moich ruin...

– Nie zbliżaj się! – krzyknęła Grzelewska, po czym wyszarpnęła z kieszeni telefon. – Zaraz tu będzie policja!

Oczy nieznajomego nabrały takiego odcienia czerwieni, że nie można było dostrzec źrenic. Siny, pokryty wrzodami język wysunął się z jego ust i przesunął się po wargach.

– Nim tu dojadą, znikniesz. Zostaniesz zwierzyną w krainie Szkarłatu.

Przyłożyła telefon do ucha. Po sygnale odezwał się głos dyspozytorki:

– Komisariat policji Perun, w czym mogę pomóc?

– Chcę zgłosić napaść na ulicy...

Właśnie wtedy otoczyła ją próżnia. Przez ułamek sekundy kobieta unosiła się w czymś podobnym do przestrzeni kosmicznej. Następnie opadła na ziemię z taką siłą, że zaryła tyłkiem w trawę. Z latarni nie padało już światło koloru mleka, lecz krwistoczerwony blask. Tę samą barwę przybrały neony sklepów ciągnące się po drugiej stronie ulicy, poświata ekranu telefonu, który Grzelewska miażdżyła w dłoni, a nawet gwiazdy. Staruszek zniknął, a wraz z nim – szum ruchu ulicznego i przelatujący samolot. Rzeczywistość wokół kobiety wypełniły pustka i mrok, gęsta substancja otchłani zdawała się ściekać z fasad budynków i spływać na ulicę, gdzie asfalt zastąpiły kocie łby. Tą wersją miasta władały dwie barwy, które nie tyle walczyły ze sobą, ile współgrały w jakiejś upiornej harmonii.

Dagmara zerwała się z łóżka i przebiegła oczami po pokoju. Zegarek stojący na szafce wskazywał jedenaście minut po drugiej w nocy. Ciało dziewczyny pokrywał pot. Serce waliło, jakby próbowało połamać jej żebra, a głos zapętlony wewnątrz głowy wrzeszczał:

Ona jest w niebezpieczeństwie! Mama krwawi i jest w niebezpieczeństwie!

Oparła stopy na podłodze i ruszyła w stronę drzwi. Podeszedłszy do nich, położyła dłoń na klamce. Już miała ją nacisnąć, gdy usłyszała:

Ojciec nie zrozumie. To świetny facet, ale nie sięga wzrokiem tak daleko, jak ty. Możesz liczyć tylko na siebie... A teraz rusz się!

Łzy pociekły jej po policzkach. Miała zaledwie piętnaście lat. Nie wiedziała, dlaczego widzi to, co widzi: pierwszy koszmar o świecie utkanym z czarnych konturów, wypełnionym światłem koloru krwi, pojawił się pięć lat temu. Nie rozumiała tych snów. Nie mogła ich

zrozumieć. Dopiero z pomocą ojca – wraz z rozwijaniem warsztatu malarskiego – formowała logiczną całość ze strzępów wpadających do głowy. Im była starsza, tym dalej potrafiła sięgnąć. Podczas monotonnych lekcji, gdy większość klasy siedziała z nosami w telefonach, odsuwała kurtynę rzeczywistości i zaglądała do miejsc, które odwiedzili nieliczni.

Pewnego razu, po nocy spędzonej na rozmyślaniach, Dagmara postanowiła porozmawiać ze szkolnym psychologiem. Wtedy pierwszy raz usłyszała w głowie chropawy głos, z którym rozmawiała do dzisiaj: *Nikt nie zrozumie... Nie zechce zrozumieć, że to, co widzisz, jest rzeczywiste. Głosiciele niewygodnych prawd od zarania dziejów kończyli na stosach. Homo sapiens nienawidzą, gdy ktoś drąży fundament, na którym wzniesli swe poglądy i życie w ogóle. Z tysiąclecia na tysiąclecie małpeczki budują zamki z piasku, zaciskając przy tym powieki, by przypadkiem nie dostrzec czegoś niepokojącego. Uwierz mi, nie warto z nimi rozmawiać*

.– Mamusiu... – wyszeptała, gdy usiadła przy biurku.

Drżącą dłonią wyrwała kartkę z bloku, chwyciła za automatyczny ołówek i zaczęła szkicować. Przez pierwsze trzy minuty robiła to ostrożnie, była świadoma każdego ruchu. Podobnie jak z medytacją, Dagmara potrzebowała czasu, by zejść pod powierzchnię – przeniknąć przez powłoki oddzielające rzeczywistości i wprawić w ruch swoje zdolności. Tej nocy planowała nie tylko wyruszyć w najdalszą z wędrówek, ale też spróbować – na samą myśl miała ochotę krzyczeć – ingerować w obcy świat. Czasem, gdy podczas rysowania kreśliła dziwaczne miejsca, w których z całą pewnością nie postawiła stopy ludzka istota, dziewczyna odnosiła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Nie chodziło o materialnego podglądacza, lecz postać ukrytą na tworzonym rysunku. Tatuś często powtarzał, że na tym świecie nie ma nic za darmo, więc zerkanie na drugą stronę też może mieć konsekwencje...

Nawet nie zauważyła, kiedy odpłynęła. Ołówek poruszał się po kartce papieru z zawrotną szybkością. Wylaniały się na niej znaki podobne do glifów, podziemne korytarze i postać krwawiącej kobiety. Tuż za nią, na dalszym planie, skąpana blaskiem księżyca, kroczyła postać – utkana ze smoły, niemal naga kobieta z wielkim okiem na piersi i rozpostartymi połami płaszcza.

Podczas kreślenia tajemniczej sylwetki Dagmara jęknęła. Twarz dziewczyny wykrzywiło przerażenie. Gdyby ktoś obserwował scenę z boku, dostrzegłby, że światło żarówki na biurku przybiera czerwony odcień, jakby światy nie tyle przenikały się wzajemnie, ile walczyły o dominację nad każdym skrawkiem materii.

Zaalarmował ją śmiech. Wyobraziła sobie hieny chichoczące podczas zajadania zwłok słonia, napęczniałych od gazów. Zerknąwszy przez lewe ramie, Iga spostrzegła postać wysoką na trzy metry. Nieznajoma szła po wodzie niczym pieprzony Jezus i szczyrzyła kły, jakby usłyszała najlepszy żart na świecie. Jej głowa przypominała balon pociągnięty smołą. Usta – pękniętą ranę. Wypełniały je trzy rzędy kłów

.– Co do...

Mimo bólu przeszywającego bok Iga podniosła się z ławki. Nie wiedziała, co robić. Intuicja podpowiadała, że to już nie jest Perun, a przynajmniej nie to Perun, w którym mieszkała przez ostatnie piętnaście lat. Posępne kamienice przypominały konstrukcje wycięte z czarnego papieru. Odkąd lampy zmieniły kolor, nie widziała nawet jednego przechodnia, drogą nie przejechał ani jeden samochód. Również ruch uliczny i tramwajowy zdawał się nie istnieć w tym dziwnym, posępnym świecie.

Mamo!

Głos natężeniem przypominał szept wypowiedziany w drugim końcu pokoju. Jedno słowo wystarczyło, by Iga rozumiała, kto się do niej odezwał. Matka pozna głos córki nawet z drugiego końca wieczności.

– Dagmara? Ale jakim cudem? Jak to!?

Niebezpieczeństwo! Uciekaj od niej!

Przeplatające się śmiechy narastały. Kobieta z wielkim krwawiącym okiem na klatce piersiowej weszła na promenadę i ruszyła w stronę Igi. Jej biały płaszcz nie pasował do tego miejsca, odcinał się od czerwonego światła lamp, jakby ono samo bało się go tknąć.

– Zbyt daleko się wybrałeś, człowieku.

– To nie moja wina... Ja. Nic. Nie...

Mamo!

Nie wiedziała, co robi. W głowie szumiało jej tak, iż bała się, że zemdleje. Jedynie głos córki wyrwał ją z odrętwienia. Zdołała najpierw postawić pierwszy krok, a potem ruszyć pędem w stronę chodnika. Krew z rany spłynęła po nodze i wypełniła but. Przebiegłszy przez ulicę, kobieta wcisnęła się w jedną z alejek, po czym wniknęła głębiej w trzewia miasta. Mijała puste kontenery na śmieci, pordzewiałe sterty złomu, rozpadające się mury i płoty z trudem utrzymujące pionową pozycję. Wszystko oblane blaskiem płynącym z krwawego uśmiechu księżyca i przytwierdzonych do ścian szklanych oczu. „Może to faktycznie są oczy? – wrzasnął poganiany adrenaliną mózg Igi. – Może ucieczka jest bezcelowa, bo Pani spod czerwonego nieba obecna jest w każdym snopie światła? Czyżbyś trafiłaś do świata

rządzanego przez królową posoki?”.

– Zamknij się! – szepnęła, choć chciała krzyknąć. Upływ krwi i fale bólu napierające na kości wprawiały ją w coraz większe rozedrganie. – Dagmara? Kochanie? Nie zostawiaj mnie...

Iga dotarła do czegoś, co wyglądało jak osiedlowe wysypisko śmieci, niegdyś najprawdopodobniej służące za podwórko. Teraz zalegały w nim pokrzywione ramy od rowerów i fragmenty karoserii. Grzelewska przechodziła ostrożnie między metalowymi elementami; ostatecznie, czego pragnęła, to utrata równowagi i kolejne rany. Nagle ciemność zadrgała i się poruszyła. Kobieta przystanęła i zasłoniła dłonią usta. Na zdezelowaną kanapę wskoczył kot. Ślepiec miał takiej samej barwy, jak wszystko w tym świecie. Nie wyglądał na szczególnie zainteresowanego ranną, niemal od razu odwrócił od niej wzrok, by wyczyścić sobie futro. W innych okolicznościach Iga na pewno zrobiłaby mu zdjęcie, by później pokazać je Piotrkowi i koleżankom z pracy, lecz teraz nawet nie przyszło jej to do głowy.

Minąwszy murek okalający podwórko, zamierzała wejść w kolejną alejkę, gdy spostrzegła coś, co spowodowało, że zjeżyły jej się włosy na karku. Ktoś białą farbą napisał na ścianie następujące słowa: „W raju żadna rzecz ani istota oblegana przez światło nie rzucają cienia. Znaczy to, że brak jej realności, jak wszystkiemu, co trwa nietknięte przez mrok i opuszczone przez śmierć”. Autor tego jakże dziwnego tekstu nie zostawił po sobie podpisu. Czy był kolejnym niewinnym wrzuconym do obcego świata? Czy w końcu dopadła go Pani w białym płaszczu? A jeżeli nie... Czy wciąż żyje i można go znaleźć? Kolejne pytania przelatywały przez myśli Grzelewskiej z prędkością błyskawic, gdy parła przez mrok, obserwowana oczami obcych konstelacji i tonącej w ciszy aglomeracji.

Szept od czasu do czasu informował ją o mięśniach dłoni, płonących bólem. Dagmara nie zamierzała zaprzętać sobie nim głowy. Nie byłaby do tego zdolna, ponieważ umysł pracujący na najwyższych obrotach wykorzystywał każdą komórkę – zamienił nastoletnie ciało w transcendentną maszynę, która niczym lodolamacz miażdżyła powłokę oddzielającą światy. Dziewczyna wiedziała, że podążanie śladami matki nie wystarczy, by ją uratować. Trzeba zanurkować w ciemność i wyszarpnąć tyle okruchów przyszłości, ile to tylko możliwe. Wzięła więc głęboki oddech, otarła pot zalewający oczy i kolejny raz przyłożyła ołówek do kartki. Zawieszona pod sufitem żarówka, mimo wyłączonego światła, błyskała czerwienią na przemian ze stojącą na biurku lampką. Przechodząca ulicą trójka pijaczków

przystanęła i wlepiła oczy w krwawe błyski widoczne w oknie drugiego piętra kamienicy przy ulicy Emila Ciorana.

- Ktoś sobie imprezkę urządził!
- Chyba burdel.
- Czemu od razu burdel?
- Co ty? Do szkoły nie chodziłeś? Czerwone światło, znaczy burdel!
- Skończ pieprzyć, panie inteligentny, bierz łyka i oddawaj flachę.
- Pewnie to tylko studenciaki szaleją...

Dwóch mężczyzn i kobieta z włochatym pieprzykiem na lewym policzku perorowali jeszcze przez kolejne kilka minut, stojąc naprzeciw kamienicy, w której mieszkała Dagmara. Popijali przy tym wódkę. Kolory ich twarzy wskazywały na bliskie pokrewieństwo z kukiełkowym bohaterem lat dziewięćdziesiątych o imieniu Kulfon. W głowach szumiało im od etanolu. Świat oddalał się – a wraz z nim ból nieleczonych chorób i skurcze pustego żołądka. Trójka miłośników trunków wiedziała, że nic już ich nie dosięgnie – alkohol nie tylko spłycał rzeczywistość, ale też tępił jej pazury. Pewnie dlatego nie zareagowali, gdy w mgnieniach szkarłatnego światła zobaczyli postać kobiety w białym płaszczu. Najpierw stała przy oknie z uśmiechem godnym Marvelowskiego Venoma, by w kolejnych błyskach, jak w animacji poklatkowej, zniknąć w głębi pomieszczenia.

Pijaczkowie spojrzeli po sobie, po czym bez słowa ruszyli w dół ulicy. Wiedzieli, że w Perun dzieją się rzeczy dziwne. Nieraz mieli okazję obserwować coś, co nie powinno istnieć w zwykłej, szarej rzeczywistości. Lata na ulicy nauczyły ich jednak, że najrozsądniej odwrócić wzrok, trzymać gębę na kłódkę i zapomnieć o całej sprawie... Najlepiej przy pomocy wysokoprocentowego etanolu.

Wbiegła między drzewa. Żdźbła trawy sięgały jej do kolan i łamały się przy najdelikatniejszym dotknięciu, wypuszczając w powietrze fosforyzujący pył. „Może to zarodniki? – przeleciało Idze przez umysł. – Czy ich wdychanie może mi zaszkodzić?”. Na to pytanie odpowiedziała makabryczna strona jej osobowości:

Przód bluzki i spodnie spływają krwią... Tracisz siły, idiotko. Zdychasz w obcym świecie, ścigana przez coś, co według praw nauki nie powinno istnieć. Nie wiesz nawet, czy zdołasz wydostać się z miasta, a zaprzątasz sobie głowę pieprzonymi zarodnikami!?

Prawą rękę przyciskała do boku, lewą zaś wyciągnęła do przodu, by odchyłać gałęzie

przegradzające jej drogę. Niestety nie przewidziała gwałtownego spadku terenu. Straciła równowagę i spadła w jeszcze gęstszy mrok. Podczas upadku próbowała schwycić kępę traw, ale bez powodzenia. Dezorientował ją szum w otoczeniu. Miała ochotę krzyczeć, lecz przygryzła język i usta wypełniła jej krew. Ostatecznie dotarła do przepaści, przeleciała dalej w dół i wpadła do wody. Zimno koło nerwy; nawet rana boku na chwilę przestała dokuczać. Iga otworzyła oczy i ze spokojem spojrzała w stronę powierzchni. Przeświecało przez nią światło księżyca.

Ponaglana brakiem tlenu, wydostała się na brzeg. Podniósłszy materiał bluzki, spostrzegła przyssane do rany dziesiątki stworzeń o czarnych, lśniących tułowiach. Na ten widok dostała torsji i zwymiotowała. Miała ochotę wrzeszczeć z obrzydzenia. Zamiast tego odrywała pasożyty jeden po drugim, po czym ciskała je w ciemność.

Podczas całej operacji nie zachowała czujności. Pewnie dlatego nie zauważyła, gdy w ciemności zamajaczyło wielkie, szkarłatne oko. Zatrzepotała powieka utkana z mroku. Pani spod czerwonego nieba płynęła nieśpiesznie kilka centymetrów nad ziemią. W końcu dotarła tak blisko, że Iga poczuła jej zapach; smród palonych opon przemieszany z gnijącymi kwiatami.

Wzrokiem przepełnionym paniką spojrzała przed siebie. Źrenica jedyne go oka stwora się rozszerzyła. Grzelewska miała wrażenie, że próbuje jej coś przekazać, wyjaśnić porządek rzeczy niedostępny dla *Homo sapiens*. „Každy dyktator i ludobójca, każdy pierdolony ruch ideologiczny ranią czynem i słowem z powodu fanatycznego przekonania, że jego prawda jest najprawdziwsza... – pomyślała, wstając. – Może jestem tylko człowiekiem, ale nie interesują mnie wymówki kolejnego żałosnego kata!”. Zaskoczyła ją własna wściekłość. Mimo osłabienia spowodowanego utratą krwi podniosła pięści. Zdołała nawet uderzyć istotę w żołądek, lecz cios nie wywarł żadnego wrażenia. Szponiasta dłoń zacisnęła się wokół szyi Igi i podniosła kobietę.

– Jesteś popiołem rozwianym przez wiatr. – Stwór mówił wolno. Ledwo można było rozpoznać poszczególne słowa, najwyraźniej jego usta miały trudność z ludzkim językiem. – Zabawka przekonana o własnej istotności.

Iga chciała coś powiedzieć, ale nie pozwoliło jej na to zaciśnięte gardło. Zebrała resztkę śliny i splunęła istocie w twarz. W odpowiedzi usłyszała:

– Umrzesz pod obcym niebem. – Długi jęzor wysunął się z ust i zatańczył prawie jak kobra w takt ruchów fakira. – Nikt nie zapamięta twojego imienia.

Nim Dagmara skończyła serię szkiców wybiegających w przyszłość, jej matka została schwytana. Dziewczyna wiedziała, że tak może się stać. Nie miała jednak wyboru – mimo słabych pionków musiała rozegrać partię do końca i podjąć kilka ryzykownych decyzji. Na szczęście wróciła do swej rodzicielki akurat wtedy, gdy ta niesiona była przez Panią w białym płaszczu. Kreśląc wykrzywioną bólem i strachem twarz jednej z najdroższych osób na świecie, roniła kolejne łzy. Jej smutek pogłębiał również fakt, iż wiedziała, że to przez nią. Z jej powodu Iga wyłądownała w świecie czerni i czerwieni. Dagmara miała nadzieję spotkać kogoś o podobnych zdolnościach. Nieraz kusiło ją, by napisać list do ojca i wszystko wyznaczyć. Teraz było za późno. Wiedziała o tym i doskonale zdawała sobie sprawę, że w razie śmierci mamy ona też nie pożyje długo. Odpychała jednak tę ostateczną, destrukcyjną myśl, ponieważ miała zadanie do wykonania, a wybieganie w przyszłość – z reguły – rodziło same wątpliwości.

Iga na zmianę traciła i odzyskiwała przytomność. W pewnym momencie otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że światła miasta zostały daleko w tyle – wyglądały jak gwiazdy, które opadły na ziemię, by lepiej przyjrzeć się poczynaniom śmiertelnych.

Stwór metr po metrze pokonywał ścieżkę biegnącą poprzez bezkresne morze traw. Pokrywało ono wzgórze zwieńczone metalowym prętem wielkości słupa telefonicznego. Gdy dotarły na szczyt, zza chmur wychynął księżyc, kolejny raz zalewając otoczenie mdłym blaskiem koloru zakrzepłej krwi. Iga uderzyła o ziemię i otworzyła oczy. To, co spostrzegła, sprawiło, że po plecach przebiegł jej dreszcz. Nigdy wcześniej nie czuła takiego przerażenia. Oto kilka metrów dalej leżały gałęzie ułożone w stos. Te na samej górze, z powodu nawilgotnienia, miały ciemniejszy odcień, jakby Pani spod czerwonego nieba zamierzała kontrolować intensywność płomieni i maksymalnie przedłużyć męki swej ofiary..

– Czyżbym trafiła do piekła? Dlaczego mnie to spotkało?

Pytania porwał wiatr. Grzelewska nie miała już siły do walki. Usiadłszy, ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Dziesiątki razy zastanawiała się, co czuje człowiek w celi śmierci, gdy siedzi na pryczy w noc poprzedzającą egzekucję i obserwuje własne dłonie. „Za kilka godzin zamienię się w kawał gnijącego mięsa, moja świadomość zniknie z powierzchni ziemi na zawsze. Nastąpi prywatny, poprzedzony wrzaskiem bólu, koniec świata... Równie dobrze mogłabym nie istnieć, ponieważ nie pozostanie po mnie choćby odcisk palca. Zresztą...”.

– Pozostawienie śladu w świecie, który ulega ciągłej dekompozycji, jest równie nierealne, co życie po śmierci. – Wyrzucała rozedrganym głosem jedno słowo za drugim, nie zdając sobie z tego sprawy, niczym osoba mająca w wysokiej gorączce. – Czy kiedykolwiek istniałam? Może jestem tylko blaknącym snem kogoś, kto żył dawno, dawno temu?

Place koloru sadzy chwytają kawałki drzewa i wrzucały je do stojącego nieopodal paleniska. Wyglądało na to, że istota w białym płaszczu wiedziała, co robi, jakby pobierała nauki w dziedzinie cierpienia u samego księcia-biskupa Würzburga – Philippa Adolfa von Ehrenberga.

Mamo...

Szept zniknął w ułamku sekund. Iga nie miała pewności, czy faktycznie słyszy córkę. Gonitwa myśli emocji powodowały, że nie była w stanie skupić się na chwili obecnej. Raz nawet wydawało jej się, że wróciła do domu i szykuje się do snu w objęciach ukochanego męża. Słyszała przepływającą w kaloryferach wodę, niknący w oddali sygnał karetki i wpadający do sypialni purpurowy blask neonu zawieszonego po drugiej stronie ulicy. Do pełnej wizji brakowało tylko twarzy Piotrka. Już miała ją skrupulatnie wyrzeźbić przy pomocy wyobraźni, gdy kolejny raz została wzniesiona nad ziemię.

Tym razem stwór przycisnął ją do pręta, po czym oplótł kawałkiem pordzewiałego łańcucha. Krople krwi z rany na brzuchu splamiły bierwiona. Na ten widok istota kolejny raz oblizła usta i wydała z siebie rechot oszalałej hieny.

– Stworzeni w świecie, którego fundamentem jest cierpienie – stwierdziła, przewlekając przez oczka kawałek metalu. – Podatni na choroby i ból odchodzicie tak samo, jak żyliście: omamieni trwaniem w iluzji.

– Gównu mnie obchodzi twój bełkot. – Iga kolejny raz chciała splunąć w stronę istoty, lecz tak zaschło jej w ustach, że nie zdołała tego zrobić.

Pani tego świata podeszła do paleniska i wyciągnęła z niego nadpaloną szczapę. Płomienie pełgały na powierzchni jej jedyne oka, przepelniona krwią źrenica wlepiona była w ranną kobietę, jakby pierwszy raz obserwowała mękę ludzkiej istoty. A może to po prostu umiłowanie do makabry, jakim nacechowani są również ludzie? W końcu każdy lubi oglądać widowisko krzywdy i śmierci, póki, oczywiście, los ograniczy go do roli widza.

Jaźnie matki i córki, mimo dzielących je światów, uległy spleceniu. Obie walczyły z jednym

przeciwnikiem – obie na szali postawiły własne życie. Dagmara kreśliła na kartce bloku niezrozumiałe znaki i słowa. Wszystko to robiła bezwiednie, pierwszy raz w życiu zanurkowała tak głęboko i rozpaliła drzemiący gdzieś głęboko potencjał do tego stopnia, że jej ciałem wstrząsały spazmy. Nie mogła wiedzieć, że za plecami, w rytm błysków żarówek, pojawia się i znika Pani spod czerwonego nieba.

Tymczasem w świecie szkarłatnych gwiazd Iga obserwowała dziwne zjawisko: jeszcze chwilę temu stwór pewnym krokiem szedł w stronę stosu, by go podpalić, gdy niespodziewanie zawiał wiatr. Niewidzialna pięść uderzyła istotę z taką siłą, że ta opadła na kolano i zgrzytnęła rekinimi zębami.

Jestem, mamu. Nie pozwolę cię skrzywdzić!

– D... Daga? Kochanie, to ty?

Kocham cię, mamusiu.

Wichura zaatakowała istotę ze zdwojoną siłą. Tym razem Pani spodziewała się ataku i nie tylko z powrotem stanęła na nogi, lecz także zrobiła krok w stronę paleniska. W dłoni wciąż ścisnęła płonącą szczapę. Na jej twarzy pojawiły się oznaki zadowolenia. „Mam cię, suko – mówiły jej wykrzywione jadowitym uśmiechem usta. – Nie powstrzymacie mnie ani ty, ani twoja pieprzona córeczka!”. Właśnie wtedy nastąpił kolejny cios. Siłą przypominał uderzenie huraganu. Białe płaszczyk zamienił się w kawał postrzępionej szmaty. Skórę koloru otchłani pokryły setki małych nacięć, z których wypłynęła zadziwiająco zwyczajna krew o bardzo jasnym odcieniu. Oko na piersi zaś... Iga nie mogła wprost uwierzyć, gdy usłyszała trzask i spostrzegła, że spojówka pękła niczym rozbity kineskop. Gęsta substancja wyciekła przez siatkę pęknięć, splamiła uda i kolana stwora.

Precz od mojej mamy!

Raz za razem nadchodziły uderzenia. Potwór uniósł twarz ku niebu, otworzył niemożliwie szerokie usta i ryknął tak, że dziewczynę i kobietę przeszedł dreszcz.

– Czyżbyś pierwszy raz poczuła smak przegranej!? Obyś rozpadła się na kawałki! – Nadzieja dodała Idze sił. Widziała, że Pani w białym płaszczyku nie może zrozumieć, jakim cudem przegrywa. Tymczasem jej ciało pokrywały kolejne rany, niewidzialna siła odrywała kolejne elementy, kruszyła oko na piersi. W końcu jej nogi zadrżały – nie zdołały utrzymać ciężaru ciała. Istota padła twarzą w trawę, prawie jak rewolwerowiec po przegranej potyczce.

– Dagmara! Zrobiłaś to! Kochanie, uratowałaś mnie!

Piętnastolatka widziała, co zrobiła. Młode serce przepełniła nadzieja, że wszystko dobrze się skończy. Pozwoliła sobie nawet na to, by na sekundę wyjść z transu i zapanować nad rozdygotanym ciałem. Właśnie wtedy zauważyła, że żarówki przestały migotać, a światło

koloru nasyconej krwi na stałe oblało ściany pokoju. Ktoś za nią stał. Palce zakończone ostrymi paznokciami opłotły szyję dziewczyny, głos łamaną polszczyzną rzekł:

– Dziadek dobrze się spisał. Prawdziwy z ciebie skarb.

– Zostaw...

Pani spod czerwonego nieba – może jedna z jej wersji lub sióstr – obróciła nastolatkę i ścisnęła jej twarz między kciukiem a palcem wskazującym. Następnie zapytała:

– Chcesz, żebym poszła do sypialni i wypruła flaki twojemu tatusiowi?

Dagmara z trudem pokręciła głową. Teraz szlochała już na całego.

– Dobrze. W takim razie bez szemrania zrobisz, co każę. Zrozumiano?

Skinęła głową. „Czy to dzieje się naprawdę? – pomyślała, ocierając rękawem kolejne łzy.

– Przecież zrobiłam wszystko, co w mojej mocy... Mamusia przeżyła, pewnie zdołałbym ją sprowadzić do domu przez podziemia... Jakim cudem wszystko trafił szlag!?”.

– Jesteś wyjątkowa – stwierdził stwór. – Niestety, bycie wyjątkowym wcale nie jest dobre. Twoim rodzicom przyniosło tylko ból.

Dziewczyna ostatni raz zdążyła zerknąć przez okno i pożegnać trwające w uśpieniu Miasto Mgły. Chwilę później zniknęła. Pokój utonął w ciemności – cztery ściany wypełnione pamiątkami osoby, której nikt nie miał już nigdy zobaczyć.

Po rozmowie z kobietą o jednym zębie i mało apetycznym pieprzyku Piotr otworzył pordzewiały kawał blachy, niegdyś służący jako drzwi, a następnie zagłębił się w podziemia Miasta Mgły. W razie, gdyby nic nie znalazł na dole, a spodziewał się, że tak będzie, w kieszeni niósł trutkę na szczury, którą zamierzał użyć, by odebrać sobie życie. Nie przyspieszał tej chwili. Nie czuł strachu czy obłądu pukającego do bram świadomości. Wbijał się w labirynt podziemnych korytarzy z godnością, niczym skazaniec kroczący w stronę krzesła elektrycznego, rozumiejący, że to jedyny sposób, by zyskać ukojenie. Pan Grzelewski, ojciec Piotrka, lata wcześniej powiedział swemu synowi, że za największy dar nie uważa pieniędzy czy przyjaciół, lecz spokój; spokój zewnętrzny i – znacznie ważniejszy – wewnętrzny, „ponieważ nie ma nic gorszego od emocjonalnych sztormów i mentalnego cierpienia, kiedy to wykrwawiasz się każdego dnia, lecz nikt nie dostrzega twych ran. Aż do chwili, gdy stajesz poza czasem i poza życiem”. Poświeciwszy latarką na jedną ze ścian, mężczyzna spostrzegł napis głoszący: „Ten świat skończy tak samo: zdegradowany do monotonii otchłani – wieczności krwawego oka – wędrować będzie niczym dom pozbawiony

lokatorów. Każdy, kto zajrzy do jego wnętrza, jest stracony”.

– Co to za pierdolenie? – rzucił w stronę betonowych ścian, po czym wytrząsnął z paczki papierosa i go odpalił. – Ktoś wypił za dużo kompotu z maku!

Perun słynęło nie tylko z zabytków, ponurej atmosfery i legend miejskich oscylujących wokół wszelkiej maści tematów paranormalnych, ale też masowego spożywania polskiej heroiny. Wynaleziona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym substancja zbierała tu żniwo w okresie PRL-u i jeszcze kilkadziesiąt lat po zmianie ustroju. Wielu badaczy zastanawiało się, dlaczego akurat w tym dolnośląskim mieście wciąż, niczym grzyby po deszczu, wyskakiwały kolejne zastępy straceńców ryzykujących zdrowie i życie dla haju. Niestety, nie znaleźli odpowiedzi na to pytanie, a w każdym razie takiej odpowiedzi, którą mogliby przedstawić opinii publicznej.

– Butelki po winie. Słoiki po zupie z maku, strzykawki... Jakim cudem narkomani zapuszczali się tak głęboko pod ziemię i znajdowali drogę powrotną? Według telefonu idę dobrą godzinę, a wciąż znajduję ślady ludzkiej bytności!

Kto powiedział, że wielbiciiele opiatów opuścili podziemia? Strzykawki mogą leżeć tu od lat, a ich właściciele spoczywać gdzieś w mroku w formie sterty kości.

Eksploracja odwracała uwagę Piotrka od głównego celu wędrówki. Zawsze lubił dziwne miejsca. Od niemal dwudziestu lat interesował się podziemiami, pobudzały jego wyobraźnię, lecz nie wszedłby do nich, gdyby w domu czekały ukochane dziewczyny. Niestety, obie zniknęły. Tydzień temu zostały oficjalnie uznane za zaginione. Sąsiedzi plotkowali, że Piotrek bił i pił – i dlatego uciekły z granicę. Na ulicy napadały go feministki, machające rękami i wrzeszczące, że to on – „Drapieżny samiec!” – zapewne najpierw skatował swoją rodzinę, by nocą wrzucić ich zwłoki do jeziora. Grzelewskiego obsmarowały też gazety i śledzili niestabilni emocjonalnie aktywiści w nadziei, że popełni jakiś błąd, który potwierdzi ich teorię o zamordowaniu matki i córki. Kilka razy rozkrwawiono mu twarz pazurami, innym razem skopało go czterech mężczyzn odzianych na czarno... Końcem końców, po niemal czterech miesiącach, wyskoczyła w końcu kolejna sensacja, „poszukiwacze sprawiedliwości” zaś ograniczyli się do plucia jadem na Twitterze i wysyłania mu maili z groźbami pozbawienia życia.

Błądził korytarzami przez kolejne dwie godziny. Im głębiej się zapuszczał, tym więcej wilgoci wypełniało powietrze. Powoli zniknęły też ślady ludzkiej aktywności. Ostatnim, co

znalazł, były zwęglone kości. Ktoś najprawdopodobniej odebrał sobie życie poprzez samospalenie. Betonowe, ściany pokrywała sadza. Piotrek doszedł do wniosku, że nieznajomy – bądź nieznajoma – zginął lata wcześniej, ponieważ resztki nie wydzielaly zapachu. Rozwarta szczeka świadczyła, że ktoś umierał w potwornych cierpieniach. „Najwyraźniej – pomyślał Grzelewski – życie doświadczyło tę osobę tak dotkliwie, że nawet wizja śmierci w płomieniach nie mogła jej przerazić... Ilu takich samotnych, złamanych chaosem egzystencji jednostek odeszło z tego świata daleko poza zasięgiem reszty zapracowanych, ludzkich mróweczek? Dlaczego, mimo ukochanej córki i żony, życie od dzieciństwa przypomina mi zataczanie kół w celi śmierci? Czyżbym został artystą tylko z powodu przytłaczającej świadomości nieistotności?”.

Skondensowane cierpienie, ostre niczym szpikulec do lodu, chwyciło go za klatkę piersiową – ruszyło w stronę gardła, zmiażdżyło po drodze tkankę i wyłamało kości. Schodził właśnie schodami, osaczony dobiegającym z głębi szumem wody, i byłby spadł, gdyby nie zacisnął dłoni na poręczy. Kawał wprawionego w kamień pręta ledwo trzymał się ściany, lecz spełnił swoje zadanie – Piotrek dotarł na dół cały, by wybrać jeden z czterech korytarzy, z których każdy wyglądał tak samo, i ruszyć dalej.

– Może jestem już pod dnem jeziora? – zapytał samego siebie, by choć na chwilę zagłuszyć ryk spływającej wody. Oczy wlepił w spękane ściany, z których sączyła się kropla za kroplą.

Nagle wyobraził sobie, że gdzieś nad głową ma potężną wodną masę. Wewnętrzny głos szepnął:

Zdążyłbyś zrozumieć, że umierasz, gdyby jezioro zdecydowało się zmiażdżyć tunel i wdrzeć do wnętrza konstrukcji?

Szarpnął nim atak klaustrofobii. Ściany naparły, ciemność wypełniły twarze jego ukochanych: Dagmara i Iga wrzeszczały z bólu i zdziwienia. „Gdzie byłeś? – pytały powidoki spod powiek mężczyzny. – Gdzieś się, kurwa, podziewał, gdy rozszarpywano nas na kawałki!? Zasługujesz na wszystko... Na cały ból, który masz przed sobą!”. Złapał oburącz głowę, zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Liczył do dziesięciu, odganiając myśli dopóty, dopóki serce nie zwolniło biegu, a wyobraźnia nie zrejterowała w najdalszy kąt czaszki.

Dotarłeś do ostatniej prostej. Dlatego jest tak ciężko. Koniec zawsze przychodzi trudno, bo człowiek gotowy jest na śmierć w każdej chwili, tylko nie w tej, w której przychodzi mu umrzeć. Głowa do góry. Ty większość marszu masz już za sobą, współczuj więc tym, którzy właśnie przychodzą na świat, nie wiedząc, co ich tak naprawdę czeka.

O dziwo, pomogło. Wystawił przed siebie dłoń z telefonem, choć bateria już ledwo

dyszała, po czym ruszył w głąb kolejnego z tuneli. W pewnym momencie woda sięgnęła mu do kolan, później, gdy czołgał się przez zawałoną część chodnika, niemal ugrzązł między prętami zbrojeniowymi. Ostatecznie jednak, z kilkoma rozcięciami i przemoczonym płaszczem, dotarł do groty i stopni wyżłobionych w skale. Tam nie było poręczy, więc w razie kolejnego mikrozałamania czekał go upadek. Oczami wyobraźni widział, jak leży w ciemności, godzinami słuchając stukotu kropel i powoli odchodząc do nicości. Nie miał zbyt wiele czasu na fatalistyczne gdybanie, ponieważ zmarznięte palce odmówiły posłuszeństwa i upuściły telefon wprost na kant stopnia. Ekran pokryła siatka pęknięć – latarka zgasła. Został sam na sam z mrokiem i wilgocią głęboko pod powierzchnią ziemi.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – Chciał włożyć w przekleństwo dużo siły, lecz nie zdołał tego zrobić. Niemal wyszeptał te trzy słowa, by następnie wyciągnąć dłonie niczym lunatykująca postać z kreskówki i ruszyć w dalszą drogę.

Zostało mu do przejścia nie więcej niż pięć stopni, gdy w mroku zaślnęły dwa czerwone punkty.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś. Nie wiem, jak tu dotarłeś, ale jestem w szoku – rzekł zachrypnięty głos. Piotrek od razu zrozumiał, że ma do czynienia z wieloletnim palaczem bądź osobą w podeszłym wieku. – Słyszysz zdziwienie? Wiesz, że nie dziwiłem się od stuleci!? Naprawdę mnie zaskoczyłeś! Pieprzony śmiertelnik nie tylko przeszedł przez tunele, które w każdej chwili grożą zawaleniem, lecz też wybrał odpowiednie korytarze i zejścia, dzięki czemu dotarł na samo dno jeziora, do szczątków świątyni i mojego domu zarazem.

– Czy wiesz, co stało się z moją rodziną?

– Ha! Czy wiem, co się stało z twoją rodziną? Człowieku! Straciłeś ją przeze mnie! Ja jestem winny temu, że obie, tak matkę, jak i córkę, trafił szlag.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Ludzkie słowa przemieszane z warczeniem wilka. Niby samobójca, ale wciąż płonie w nim ogień. Chyba tylko dlatego, mimo ułomności i plugastwa, pozwolili wam wciąż trwać. Z powodu wpadania w skrajności i skłonność do bratobójstwa *Homo sapiens* stanowi przednią rozrywkę nawet dla samej wieczności.

Grzelewski, zamiast bawić się potyczki słowne, zacisnął dłonie i ruszył przed siebie. Nie zwracał uwagi na nieprzenikniony mrok, brnął wytrwale do źródła dźwięku.

– Stój spokojnie, bo cały wysiłek dostania się do ruin pójdzie na marne, jak sobie głowę

o kamień rozpieprzysz.

W tym momencie rozbłysło światło. Oczy Piotra potrzebowały chwili, by przystosować się do nowych warunków. Gdy w końcu to zrobiły, mężczyzna powiódł wzrokiem dookoła. Stał po prawej stronie okrągłego pomieszczenia. Od ziemi aż po wypełniony stalaktytami szczyt ściany jaskini pokrywały znaki przypominające glify. To z nich wypływał pulsujący czerwony blask. Po lewej stronie, na kamiennej ławie, siedział staruszek z okiem wytatuowanym na dłoni.

– Robi wrażenie, prawda? Spoglądasz na ściany, które są starsze od twojego narodu. Niegdyś było wiele podobnych budowli, lecz większość pochłonęła ziemia i chrześcijańskie miłosierdzie. Tą czeka podobny los, choć muszę przyznać, że Perun jest miejscem jedynym w swoim rodzaju, tutaj naprawdę wiele można zdziałać i zajrzeć do niejednej rzeczywistości.

– Skończ z pieprzeniem. Nie obchodzi mnie nic, prócz losów mojej rodziny. Gdzie oni są i dlaczego ich skrzywdziłeś?

Nieznajomy przecesał resztkę siwych włosów i stuknął laską. Wyglądał na znudzonego.– Skąd te oskarżenia? Jestem tylko nieszkodliwym starcem!

– Zabiję cię, sukinsynu.

– Powiedział człowiek! – Staruszek ostatnie słowo wypowiedział z taką pogardą, że Piotrkowi zjeżyły się włosy na karku.

– Ciekawy jestem, czy będziesz taki hardy, jak zobaczysz swoją żonę.

– Iga jest tutaj? W tej chwili mi ją pokaż!

– Jesteś tego absolutnie pewny?

– Rusz się, dziadku.

– Ludzie nie wiedzą, czego chcą – rzekł znacznie ciszej, jakby do siebie, nieznajomy. Następnie kolejny raz stuknął laską. Jaskinia zadrżała. Podłoga na środku rozstała się. Do pomieszczenia, niczym tajna broń szalonego naukowca, wjechał przedmiot. Nie był nim, niestety, wynalazek służący do osiągnięcia dominacji nad światem, lecz katafalk z czarnego kamienia. Leżało na nim ludzkie ciało – przypominało kurczaka wyciągniętego z piekarnika i wciąż się ruszało. Grzelewski usłyszał jęk. Spojrzał na pozbawione warg usta i oczy bez powiek. „A więc tak wygląda ktoś, kto spłonął żywcem, lecz zamiast umrzeć, wciąż cierpi, jakby trafił do katolickiej odmiany piekła” – pomyślał.

– To nie Iga. Nie wierzę... Niemożliwe. Kłamiesz!

Nieznajomy kilka razy uderzył językiem w podniebienie i pokręcił głową, przywołując na twarz grymas zniesmaczenia.

– Po piętnastu latach wspólnego życia nie poznajesz własnej kobiety? Typowy facet!

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie wytrzymał i ryknął śmiechem. Piotrek podbiegł do niego i zaatakował. Bez opamiętania okładał pomarszczoną twarz pięściami. W końcu opadł z sił i ze zgrozą spostrzegł, że nie wyrządził mężczyźnie najmniejszej krzywdy.

– Aaaaaa – wychrypiała Iga i zadrżała. Miejscami spod spalonego mięsa wystawały kości. – Aaaaaa...

– Twoją żonkę spalono na stosie pięć miesięcy wcześniej. Wiem, że powinienem ukrócić jej ból, ale dawno nie smakowałem tak przepysznego cierpienia.

– Jesteś potworem...

Facet wzruszył ramionami.

– Z twojego punktu widzenia tak. Odbieracie otoczenie bardzo płasko. Dobro i zło, czerń i biel, miłość i nienawiść. Słowa, słowa i jeszcze raz słowa. Nic to nie znaczy dla bytów, które poruszają się daleko poza sferą ludzkiej wyobraźni.

– Czy moja córka... Czy ona też tak...

– Odpowiem ci, co się stało z Dagmarą, ale pod jednym warunkiem.

Grzelewski podszedł do żony, padł na kolana i się rozsłochał. Nigdy w życiu nie był tak blisko utraty zmysłów.

– Mów – wyszeptał.

– Jak się tu dostałeś?

Zamiast odpowiedzieć, Piotrek wyszarpnął z kieszeni płaszcza kartki i rzucił je na podłogę. Krwawy blask pokrył znaki pozostawione przez Dagmarę i szkice podziemi Perun.

– Ha! Smarkula jest przebiegła! Zanim zabrała ją Pani, zostawiła wskazówki, jak mnie znaleźć... Choć może łudziła się, że wygra i wtedy sprowadzi matkę z krainy Szkarłatu? Ech... Młodość jest pełna naiwności. Prawda?

– Gdzie. Moja. Córka – wycedził Piotr.

– Twoja córka jest architektem. Jednakże, zamiast budynków, wznosi światy.

– Architektem... Nie rozumiem.

– Bez względu na to, czy byśmy ją znaleźli, Dagmara i tak długo by z wami nie została. Ci, którzy potrafią manipulować fundamentalnymi jednostkami składowymi, załamują się pod ciężarem własnej wiedzy i wpadają w szaleństwo. Tymczasem, dobrze pokierowana, pozwoli stworzyć kolejne piekielko dla istot niższych, takich jak ty i twoja żonka.

W Piotrze rozpacz mieszała się z nienawiścią. Wiedział, że nic nie może zrobić. Niewiele z tego wszystkiego zrozumiał, lecz nie zamierzał – po prostu nie mógł! – dać za wygraną.

– Błagam... Skoro ludzie to dla was... dla ciebie... nic takiego, oddaj mi żonę. Przywróć ją do zdrowia. Pozwól też wrócić córce. Chciałbym z nią porozmawiać ostatni raz.

Dowiedzieć się, czy tam... Tam, gdzie jest, nie dzieje jej się krzywda. Błagam!

Staruszek przetarł twarz dłonią. Przez dobrą minutę przyglądał się płaczącemu Grzelewskiemu.

– Jesteś w stanie oddać dla nich wszystko, prawda?

– Bez wahana.

– Emocje to najgorsza z rzeczy, jaką tamci dla was wymyślili. Uwikłałeś się w przywiązanie. Kochasz kogoś bardziej od siebie... Czysty absurd!

– Proszę...

– Dobrze już. – Kolejne stuknięcie laską. Katafalk wraz ze spaloną kobietą połknęła podłoga. – Nie jęcz, bo rzygać się chce. Wrócisz do domu cały i zdrowy. Iga też. Jak powiedziałem wcześniej: może kiedyś zobaczysz Dagmarę, nie łudź się jednak, iż przypominać będzie kochaną nastolatkę, jaką nosisz w pamięci. W zamian zaś nakarmisz mnie bólem. Tylko taką zapłatę przyjmuję.

Piotr podniósł głowę. Twarz miał wilgotną i obrzmiałą od płaczu.

– N... nie rozumiem.

Dziadek wyszczerzył zęby, ukazując czarne dziąsła.

– Ależ rozumiesz, worku kości. Skoro Sekator z Perun nie może wywiązywać się ze swoich obowiązków, ty zastąpisz jego miejsce. Sprowadzisz ból na niewinnych, nieznanym ci ludzi, by utrzymać w zdrowiu ukochaną małżonkę i umożliwić spotkanie z córką. No, co ty na to?

– Mam zabijać niewinnych?

– Masz zabijać najniewinniejszych! A kto jest najniewinniejszy pod waszym przeklętym słońcem!? – Teraz Dziad niemal krzyczał. W jego oczach pełgał blask koloru krwi z taką intensywnością, że Grzelewskiemu wydawało się, iż pod czaszką zamontowane ma reflektory samochodu. – Dzieci! Twoim celem, celem, któremu wyprujesz flaki i odetniesz łepetynę, jest dziecko. Nie jedno, nie pięć, lecz dziesiątki pieprzonych smrodów!

– Jesteś popierdolony!

– Twoja opinia jest równie istotna, co zdanie schnących na chodniku odchodów. Wchodzisz w układ, czy kończymy tę grę?

Nagle Piotrek usłyszał słowa kobiety, z którą rozmawiał przed wejściem do podziemi:

Niewiele różnisz się od zjawy... Dziwne, że jeszcze rzucasz cień...

– Bez nich i tak jestem potępiony – wyszeptał, rozkrwawiając paznokciami czoło. Szkarłatne łzy spłynęły mu na brwi. W końcu, ociągając się, odparł: – Dobrze. Zgadzam się.

Starzec odchylił głowę i zarechotał. Jego grdyka chodziła w górę i w dół, a śmiech

szalonego klauna niósł się aż po szczyt jaskini, pełził przez wiekowe korytarze i wprawiał w drżenie wypełniające je krople wody. Miasto Mgły miały wypełnić kolejna fala morderstw i lament zrozpaczonych rodziców.



DAGMARA ADWENTOWSKA SYLWIA BŁACH
KAROLINA KACZKOWSKA AGNIESZKA KWIATKOWSKA
ALEKSANDRA ŁANISZEWSKA CARLA MORI
ANNA MUSIAŁOWICZ AGNIESZKA PRUSKA
JOANNA PYPŁACZ AGATA SUCHOCKA IZABELA SZOLC
FLORA WOŹNICA ANNA MARIA WYBRANIEC

GROZA JEST KOBIETĄ



SZORTAL

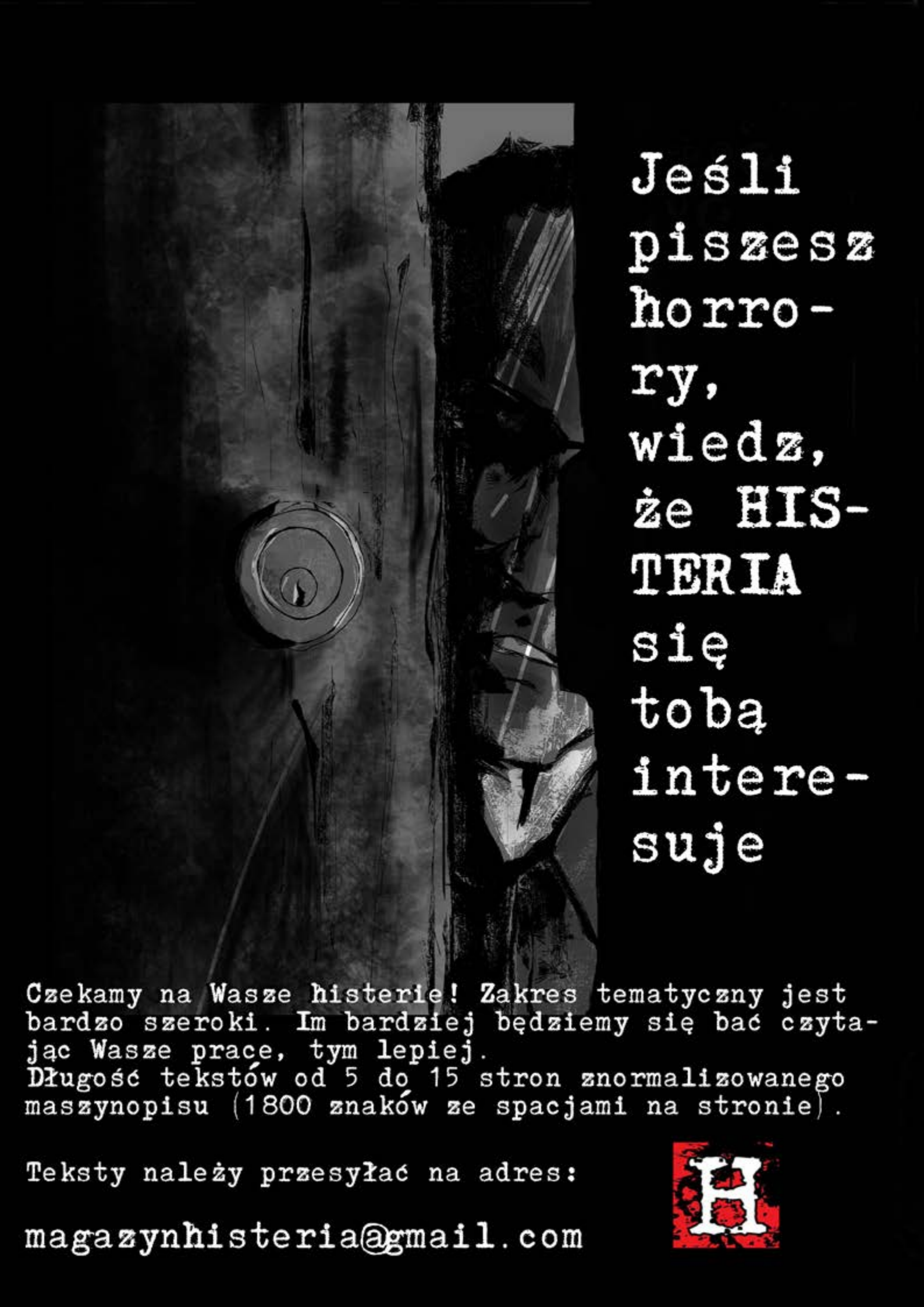
UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.

Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

